[illegible]

BRUNO W[illegible]

Doktor Szegbram

BIBLJOTEKA
DZIEŁ WYBOROWYCH

BIBLJOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor
Stanisław Lam

Wydawca
Feliks Gadomski

Tom VIII

Cena tomu w prenumeracie . . zł. 1.23
Cena tomu poza prenumeratą . zł. 1.90

Redakcja i Administracja:
Warszawa, Sienkiewicza 12

BRUNO WINAWER

Doktor Przybram

Powieść

Księgarnia Bibljoteki Dzieł Wyborowych
Warszawa, Sienkiewicza 12

Bruno Winawer należy dziś do najwybitniejszych satyryków i humorystów polskich. Jego utwory sceniczne, grane we wszystkich teatrach nie tylko naszych, ale zagranicznych, zjednały mu sławę najdowcipniejszego człowieka, a Bernard Shaw po przeczytaniu „Księgi Hioba" Winawera, przetłomaczonej na język angielski przez Conrada-Korzeniowskiego, powiedział, iż jest to jedna z najlepszych współczesnych komedji. Nie mniej humoru mają powieści Winawera, wśród których „Doktor Przybram" jest utworem najbardziej charakterystycznym dla talentu autora.

Złożono i odbito w drukarni „Rola"
Jana Buriana, Mazowiecka Nr. 11

Oprawiono w Zakł. Introligatorskich
J. Modzyńskiego, ul. Kopernika 42

I.

SŁOWO ZACHĘTY DLA CZYTELNIKA.

Ludzie uskarżają się na to, że Nauka jest nudna. Stawiamy — utartym zwyczajem — na naszych placach publicznych pomniki wybitnym uczonym, ale w skrytości ducha uważamy ich za plagę naszych lat szkolnych, za widziadła straszne i bezcielesne, które zjawiają się w pewnej epoce naszego życia, podniósłszy palec do góry mówią tonem grobowym: kategoryczny imperatyw! albo zachowanie energji! albo *e pur si muove!* albo kwadrat przeciwprostokątnej! — i to rzekłszy, znikają.

Rzecz dziwna! Nawet trzeciorzędny literat jest nam bliski, znamy go doskonale z podręczników i wykładów, wiemy w kim się kochał, gdzie spędzał wakacje, policzyliśmy jego westchnienia i kichnięcia. Wywlekamy ze starych szuflad pożółkłe skrawki papieru i dorzucamy wciąż jeszcze do skarbnicy naszych wiadomości nowe dokumenty: list liryka, Igrekały do praczki, autentyczny przepis powieściopisarza, Iksicza, na sztukę mięsa przy

kości... O odkrywcach i wynalazcach wiemy natomiast tylko tyle, że jeden chciał jechać do Indyj, a trafił do Ameryki, inny obmyślił czcionki, ów mówił sanskrytem, a tamten pisał logarytmami.

Ludzie nauki nie mają poprostu szczęścia. Znamy tylko jeden utwór, którego bohaterem jest nawigator, Vasco de Gama (1469 — 1524), człowiek dużych zasług w dziedzinie geografji. Niestety — utwór ten to opera, Vasco de Gama śpiewa tu barytonem po włosku i znowu nikt nie rozumie, o co mu chodzi. A jednak...

Przeczytaliśmy w ubiegłym tygodniu wszystkie popularniejsze powieści sensacyjne, ogołociwszy do szczętu pewien stragan przy ulicy Marszałkowskiej. Nie pojmujemy! Nie rozumiemy, dlaczego np. żywot znakomitego Przybrama miałby być mniej zajmujący od biografji dorożkarza Nr. 13, włamywacza Manolescu, Ludwiki Saskiej, Adolfa, Teresy, Nany, ex-cesarzowej Zyty, hrabiego Monte Christo, Pinkertona. Nie rozumiemy też, dlaczego o pewnym mopsie i o pannie służącej rozprawiają nam długo i szeroko na 160 stronicach bitego druku, kiedy o twórcy największego przewrotu w dziejach tego globu pisze Larousse:

Przybram H. I. odkrył *zimne płomienie.* Urodził się. Umarł. Zresztą zob. płomienie (zimne).

W artykule płomienie (zimne) znajdziemy kilka suchych faktów z fizyki, kilka nazwisk, kilka dalszych odsyłaczów — ale napróżno szukalibyśmy tam tego polotu, tego natchnienia, tego ognia poe-

tyckiego, który bije z każdej karty powieści o dorożkarzu.

Ktoś najwidoczniej skrzywdził Przybrama. Źle dlań usposobił publiczność, wmówił w czytelnika, że mała Fifi jest ciekawszym tematem, niż wielki odkrywca.

Nieprawda! Veto! Przekonamy się niebawem, jak dalece romantyczny był żywot tego człowieka, jak bardzo obfitował w momenty dramatyczne.

Co prawda — pewne szczegóły musieliśmy ubarwić i dostosować do smaku łaskawych czytelników i zwolenników kina; niektóre luki — wypełnić fantazją własną, na inne — narzucić wzorzysty, że tak powiemy, kobierzec wyobraźni naszych kolegów po piórze.

Sądzimy, że naogół nie popełniliśmy nic zdrożnego i ożywieni najlepszemi zamiarami przystępujemy do dzieła.

II.

NĘDZA I LIST.

Miejscowość kuracyjna wyglądała — wieczorem zwłaszcza — jak spore, ruchliwe miasto, które ktoś sobie dla celów naukowych spreparował: odciął wszystkie zaułki, dzielnice fabryczne, podejrzane stare rynki, osiedla nędzarzy i zostawił jedną jedyną arterję — ulicę Główną. Odrazu, bez dłuższych wstępów, bez zbytecznych prologów toczyła się wprost z lesistego, ciemnego pagórka wdół, ku stacji kolejowej, kaskada jaskrawych witryn sklepowych, tarasów kawiarnianych, lakierowanych powozów, biegły dwa zalane światłem trotuary, wstęga szyldów i girlanda lamp elektrycznych. O kilka staj na lewo szumiały drzewa, jak na wsi, w górze wisiał strop niebieski z półksiężycem i Marsem, a tu — cieniutkiem korytem, w którem, logicznie rzecz biorąc, powinien był szumieć strumień albo potok, płynął raptem w świetle reflektorów pstrokaty tłum panów, odzianych w tenisowe spodnie

i włóczkowe kamizele, pań, owiniętych w pomarańczowe swetry.

Jeszcze bardziej zdumiewające od optycznych były wrażenia akustyczne. W kawiarniach rzępoliły jazz-bandy, panowie zaś i panie przerzucali się, jak grono zwarjowanych profesorów szkoły Berlitza, słowami wszystkich narzeczy kontynentu. Mówiono po węgiersku, po czesku, po niemiecku, po polsku — a olbrzymi, szpakowaty jegomość (getry, monokl, faworyty à la Franciszek Józef), wydobywał z gardła jakieś tony basowe, które czasem brzmiały jak esperanto, a czasem, jak język Carmen Sylvy.

Doktór Przybram (Hubert) chodził tego wieczoru krok w krok za sobowtórem Franza Josefa. Czuł się w tem pstrokatem zbiorowisku ludzkiem wogóle, jak ubogi krewny na wykwintnem przyjęciu, nie wiedział, co ma właściwie począć ze sobą i dlatego obierał zwykle na wzór pierwszego lepszego przechodnia, stawał przed temi samemi, co i jego trener, sklepami, wstępował do tej samej owocarni, kupował najmniej niezbędne rzeczy u tych samych kupców. Dzisiaj, idąc za duplikatem cesarza austrjackiego, nabył ostatni numer „listy przyjezdnych" za koronę dwadzieścia.

— Zostaje zatem — myślał — koron 350 i halerzy 50. Prócz tego mam pięć dolarów w portfelu i dwieście lirów włoskich w książeczce pasportowej. Rachunek w hotelu wynosi co najmniej trzy-

sta koron. Jeżeli będę żył oszczędnie i rozsądnie— mogę istnieć trzy dni.

Jegomość w getrach źle najwidoczniej zrozumiał zamiary podejrzanego osobnika w wyrudziałem palcie, który go prześladował od godziny. Obrzucił Przybrama spojrzeniem piorunującem, kiwnął na fiakra, podsadził pulchną damę o wybitnie karminowych ustach, umieścił ją na siedzeniu i pojechał kędyś w stronę kasyna czy hotelu „Excelsior".

Hubert pięknym gestem antycznym podniósł rękę i, nie zważając zupełnie na mankiet, który siła odśrodkowa wyrzuciła przy tej sposobności aż na jezdnię, pożegnał się krótkiem *„Vale!"* z nieznajomym Rumunem.

— Kto wie, czy pana jeszcze w tem życiu zobaczę. Kto wie, czy rozstrzygnę przed śmiercią pytanie, w jakiem właściwie narzeczu flirtował pan z pulchną i czarnowłosą damą, tudzież dlaczego jej usta są aż tak bardzo karminowe. Trudno... Nie mogę ja sam rozwiązywać wszystkich problematów świata. Nie będzie mnie, będzie kto inny. Wedle najnowszych obliczeń geologicznych dwa miljardy lat egzystował ten glob bez Przybrama — jakoś tam sobie będzie radził i dalej.

Z „Café Utschig" grzmiała już — jak co wieczór o tej porze — uwertura wagnerowska, z baru płynęły łagodne tony bostona, subjekt ze sklepu „Carnaval de Venise" fałszował uporczywie naj-

nowszą piosenkę: „M-tak, dać drapaka do Argentyny..."

Hubert wyplątał się z tłumu, porzucił główne łożysko, stanął pod murem na bocznej ulicy, utkwił wzrok nieruchomy w napisie: „Okazja! wielka wyprzedaż koszul męskich! krawaty! kalesony!" i postanowił pójść za pierwszą samotną osobą, która przetnie jego pole widzenia.

Pierwszą samotną osobą, był chłopaczyna w malowniczem „jersey", białych pantoflach i koszuli z wyłożonym kołnierzem. Wypadł z za węgła, podskoczył, uderzył kijkiem od golfa w blaszany szyld i dał nurka w ulicę Główną.

— Cofam! — myślał samotnik w wyrudziałem palcie. — Nie będę uderzał kijkiem po szyldach. Nie dbam już o opinję ludzką, ale nie mogę się ośmieszać na trzy dni przed śmiercią. Czekajmy na numer następny.

Numer następny wyglądał bardziej solidnie. Była to kobieta o dziwnie wydatnym biuście i dziwnie skrępowanej talji. Można też było dostrzec na pierwszy rzut oka, że jej rozlewne kształty przekraczają znacznie pojemność gorsetu.

Hubert przeczekał kilka chwil i podążył za nią. Dama stawała przed każdą witryną, oglądała uważnie torebki skórzane i brzytwy, ananasy i wyroby z kości słoniowej, serwisy porcelanowe, miotełki i wieczne pióra. Głównie zaś dbała o to, żeby każdy jej krok był elastyczny, każde przegięcie głowy i kibici rozkoszne. Za restauracją Hammerschmidta

skręciła na lewo i uśmiechnięta, jak poranek majowy, weszła do kawiarni Teatralnej.

— Ma rację, — pochwalił ją w duchu Przybram, — ma zupełną rację. Kawiarnia! To jest teraz ów dom i przytułek dla nas — wydziedziczonych i wieczyście samotnych. Tuby Juljusz Cezar snuł swe plany, gdyby dziś chodził po świecie, i tuby Marek Aureljusz układał aforyzmy. Tu kreśliłby na mapach Kolumb tajemnicze znaki i tu, żonglując solanką, odkryłby Newton prawa ciążenia... Szkoda, że tych panów nie zastanę tam — wewnątrz — ale w każdym razie nie będę sobie odmawiał kawy w przeddzień wypadków tak doniosłych...

Pchnął drzwi oszklone, siadł co prędzej na pluszowej kanapie przy wejściu. Zdarzało mu się bowiem w ostatnich czasach, dość często, że, kiedy zbyt długo rozglądał się po lokalu, pani bufetowa ni stąd ni zowąd, odzywała się doń łagodnie: Jałmużnę dajemy tylko w poniedziałki i piątki. Dziś mamy dopiero czwartek.

Przybrał tedy podstawę, pełną godności, puknął kościstym palcem w marmurowy blat stołu:

— Przyniesie mi pan — rzekł ostro do kelnera — filiżankę kawy, atrament i papier listowy. Atrament i kawa mogą być czarne. Kolor papieru nie gra roli decydującej.

W kawiarni było pusto. Nudziły się gazety na długich kijach, ziewał pan „płatniczy", przebierając dla wprawy palcami w skórzanej torbie, w któ-

rej chował bilon. Tylko mała dziewczynka, roznosząca zazwyczaj ciastka, położyła jakiś „witzblatt" na tacy z makaronikami i zaśmiewała się, zasłaniając dla przyzwoitości usta dłonią.

Pod oknem siedziała elastyczna dama o wydatnym biuście. Należała widocznie do składu miejscowego teatru operetkowego. Rzucała powłóczyste spojrzenia na Przybrama, na płatniczego — szczebiotała przytem bez przerwy z pewnym grubszym panem, do którego mówiła stale „dyrektoruniu". Bił od niej wdzięk połączony „Hrabiny Maricy" i „Słowika Hiszpańskiego". Mimo to dyrektorunio wlepił oczy w przestrzeń, ssał cygaro a mięsiste wargi zacisnął tak, że tworzyły bardzo wypukły nawias, zwrócony końcami ku dołowi. Rozmowę podsycał jednym tylko krótkim wyrazem „no?"

— Przychodzę do domu — terkotała diva, — kwiaty. Róże! Olbrzymie! Ponsowe! Takie!

— No?

— Ręczę panu, że pan takich róż w życiu swojem nie widział. I zawsze ta sama kartka: „Nie chcę Pani poznać osobiście, bo kto wie, czy się nie rozczaruję. — Wielbiciel".

— No?

— Pan musi przyznać, dyrektoruniu, że ja tu mam szalone powodzenie. Wczoraj wracałem do domu piechotą, ale dowiedziałam się z pewnego źródła, że chciano mi wyprząc konie.

— No?

— Nie rozumiem, dlaczego Poldi ma większą gażę ode mnie. Pan czytał, co o moich występach pisze „Urzędowy dziennik ogłoszeń"?...

— Tak — myślał Przybram. — Trzeba było zostać dyrektorem teatru. Ale cóż — mnie od lat dziecinnych pociągały dalekie kraje, białe miejsca na mapach. Chciałem być — mówiąc obrazowo — przemytnikiem, który się ciemną nocą przez granicę rzeczy znanych ku Nieznanemu przedziera. No i tak się jakoś dziwnie stało, że mnie na tej granicy los zaaresztował. Za trzy dni ostatniego halerza wydam — poczem zwracam dobrowolnie Naturze wszystkie atomy, wypożyczone chwilowo dla ukształtowania doktora Przybrama. Niech sobie idą do odwiecznej garkuchni — z czasem powstanie z nich nowa kombinacja, jakiś łopian, ptaszek albo bławatek. Nie mam pretensji, głupstwo, nie rozczulajmy się.

Przełknął łyk kawy, zanurzył pióro w kałamarzu i na blankiecie firmowym *(Theatercafé-Marienban-Marianske Lazne)* pisał równo, czytelnie, spokojnie.

Mr. W. P. Morris, Instytut Fizyczny w Pasadenie, Kalifornja.

Panie,

nazywam się Hubert I. Przybram. Piszę do Pana z drugiego końca świata, nie znam Pana osobiście, nie mam pojęcia, jak Pan wygląda i w jakim Pan

jest wieku. Mam jednak odrobinę nadziei, że nazwisko moje nie jest Panu zupełnie obce. Pracujemy obaj w tej samej dziedzinie, zajmuje nas obu problemat *zimnego światła*, przypuszczam więc, że wpadły Panu w ręce moje pobieżne, tymczasowe notatki, które w czasopismach specjalnych (Phil. Mag., Zts. f. ang. Chemie, C. R., Am. Journal of Science, Proceedings-Amsterdam) ogłaszałem.

Nie chciałbym zabierać Panu, Profesorze, drogiego czasu, nie stać mnie na ozdoby stylistyczne, w kawiarni, w której ten list piszę, patrzą już oddawna podejrzliwem okiem na obdartego i kompromitującego gościa. Pozwoli Pan więc, że krótko, źle, byle jak powiem, o co mi chodzi i dlaczego się zwracam do Pana.

Zimnym płomieniom i sztucznym fosforom poświęciłem kilkanaście lat życia. Dwa czy trzy miesiące temu — dla łatwo zrozumiałych powodów — zmuszony byłem przerwać moje badania naukowe: w zrujnowanej Europie dzisiejszej brak środków na kosztowne doświadczenia. Eksperymenty tego rodzaju popierają zwykle państwa, instytucje, finansują je ludzie zamożni dla jakichś ambicyj lokalnych czy narodowych. Co do mnie — pracowałem w Wiedniu, a urodziłem się we Lwowie. Jestem trochę bezdomny i, jako cudzoziemiec, nie miałem nawet moralnego prawa do korzystania z wsparć i funduszów, przeznaczonych dla głodujących pracowników umysłowych w dawnej stolicy naddunajskiej. Krótko mówiąc — zrzekłem się posady

w Wiedniu, spieniężyłem książki swoje i mikroskopy w nadziei, że jakieś zajęcie płatne sobie wynajdę. Nie poszczęściło mi się. Byłem zawsze źle przystosowany do życia, nie mam krewnych, pogubiłem gdzieś po drodze kolegów i znajomych. Jestem sam i — wedle obliczeń przybliżonych — za trzy dni wydam ostatniego centa. Postanowiłem przed upływem tego terminu do soli marjenbadzkiej, którą (licho wie dlaczego — jestem najchudszym kuracjuszem w uzdrowisku) pijam w rozczynie co rano, domieszać zawartość pewnej ampułki... Ale nie o tem chcę mówić.

Etyka zawodowa — jeżeli ją dobrze rozumiem — i pewien niepisany kodeks honorowy nakazują uczonemu, aby, usuwając się na zawsze, przekazał wiedzę swoją i zdobyte w pracy doświadczenia godnemu następcy. Nie widzę na ziemi człowieka godniejszego od Pana, Profesorze. Aczkolwiek nawet tych kilkanaście koron, wydanych na znaczki pocztowe, skraca życie moje o kilka godzin — wysłałem wczoraj pod adresem Pańskim w paczce rekomendowanej moje dzienniki, bruljony i spostrzeżenia.

Być może, że się mylę i, że te rzeczy nie mają żadnej wartości. Proszę mi wybaczyć — nie powodowała mną doprawdy fałszywa ambicja. Nie! Według mojego *najgłębszego przekonania* brak mi tylko jednego jedynego celnego uderzenia, aby wymusić na ciemnych siłach przyrody nowe zwycię-

stwo. Dajcie mi zaczerpnąć powietrza na jeden głębszy oddech... — dosyć. Za późno.

Z papierów i diarjusza domyśli się Pan, o co chodzi. Jeżeli znajdziemy pewne *coś* — w moich manuskryptach: „radiator X" — stworzymy odrazu nowe *rezonatory drobinowe*, potrafimy zamienić byle furę bezużytecznego gipsu na substancję cudowną, która w dzień pochłaniać będzie i gromadzić energję słoneczną, aby następnie nocą rozpalić się samorzutnie i rozbłysnąć jasnym *zimnym płomieniem*. Wykradniemy — nieodwołalnie i ostatecznie — światło zazdrosnym bogom. Będzie tańsze od kupy przydrożnego żwiru, wiatr je będzie roznosił, jak roznosi piaski na pustyni. Każdą chałupę wiejską, każdą lepiankę obdarzamy workiem białego proszku, który — wystawiony w dzień na działanie słońca — nocą świecić będzie mocniej, niż lampa łukowa i reflektor teatralny. I uwolnimy znów tysiące rąk, skierujemy wysiłek ludzki i energję dynamomaszyn ku nowym celom... Mówię „my" — chociaż ja tej chwili nie doczekam. Wierzę natomiast, że Pan będzie szczęśliwszy ode mnie.

Przesyłam Panu, Profesorze, do słonecznej Kalifornji, przez oceany, których nie widziałem i nigdy nie zobaczę, przez lądy i morza — pozdrowienie ostatnie.

H. J. Przybram.

Post scriptum. Gdyby Pan — dla zorjentowania się w dotychczasowych wynikach — chciał

przejrzeć mój materjał laboratoryjny (surowce, półpreparaty, odczynniki, fabrykaty próbne) — mam rzeczy ważniejsze w walizce. Powierzyłem ją pucobutowi w hotelu „Goldene Krone". Człowiek ten nazywa się Balduf (Hans, bo jest i Feliks) — powiedział mi, że będzie jej strzegł, jak oka w głowie i wyśle ją Panu na każde żądanie. Mnie już na tę przesyłkę brak pieniędzy. *H.I.P.*

III.

PROBÓWKA NUMER TRZYNASTY.

W kawiarni Teatralnej zapalono tymczasem wszystkie lampy. Zaczynał się zwykły „przypływ" wieczorny. Oszklone drzwi wejściowe odskakiwały z impetem raz po raz i jak pod naporem pompy tłoczącej, przelatywały przez nie do pustego przed chwilą lokalu luźne gromadki i zbite rodziny. Kiedy Przybram podniósł zmęczone oczy z nad karty papieru — miał w pierwszej chwili wrażenie, że patrzy na powierzchnię rzeki w okresie powodzi: prąd porwał rajery, koki, białe gorsy, kołnierzyki i niesie to od wejścia do bufetu i od bufetu do czytelni. Tylko jego stolik był przez dłuższy czas mielizną, którą spienione fale omijały starannie. Wreszcie — prawa przyrodnicze mocniejsze są snać od woli ludzkiej — i na ten brzeg samotny wartki nurt wyrzucił jakiegoś niedużego pana o bardzo dużej głowie i jakieś dwie otyłe, połyskujące brylantami, damy. Nieduży pan uśmiechał się łagodnie, mówił łamaną niemczyzną z kelnerem i uplastyczniał przy-

tem wszystkie cyfry, wysuwając, jak przy grze w morę, odpowiednią ilość palców:

— *Give me... Sie holen mir... one, two, three tea... one, two, sechs Zwieback... eggs und Butter. Verstanden Sie?*

Przybram wsłuchał się w rozmowę swoich przygodnych sąsiadów. Najlepiej zrozumiał słowa: sleeping, Monachjum, Norymberga, dwa dni, Hamburg, Lloyd, kabina, Southampton, Nowy Jork.

— Dziwna historja — myślał. — Dajcie mi jeden kolczyk tej starszej damy, kilka pereł z jej naszyjnika, a zimne płomienie zapalę nad światem. Najgorsze, że babina, mimo pereł i brylantów, brzydka jest biedactwo, jak grzech śmiertelny. Cóż — nie mogę nieznanym ludziom proponować, żeby na moje ręce składali swoje kosztowności...

A gdyby tak ten wesoły Amerykanin z dużą głową był właśnie profesorem Morrisem? Los jest taka wyrafinowana kanalja, że wszystkiego się po nim można spodziewać! I siedzimy tu, przy tym samym stoliku, rozstaniemy się za pięć minut, rozejdziemy w różne strony świata — on do Southamptonu, ja — w nicość, i nie dowiemy się nigdy, żeśmy oddychali tem samem powietrzem. Bo przecież nie mogę pytać pierwszego lepszego przechodnia, który mówi po angielsku, czy nie wykłada przypadkiem fizyki w Pasadenie. Stany Zjednoczone mają przeszło sto miljonów mieszkańców...

Halt! jest sposób! Nabyłem przecie listę przyjezdnych za koronę dwadzieścia. Szukajmy!

Amerykanie z grzecznem „thanks“ przenieśli się właśnie do większego, okrągłego stołu. Przybram wydobył z kieszeni zmięty druczek, rozprostował go starannie i czytał literę po literze, wiersz po wierszu. Serce mu biło, jak podczas egzaminu maturalnego:

Margit Salomonowicz, Privat., Boston, Hotel Weimar.

Ali Haidar Bej, Dipl . Kair, Hotel „Stadt Rom“.

Nepalleck, Hofrat, Wien „Excelsior“.

Kornel Kuzsik, Kauf., Jaffa, „Zwon“.

Manuel Rodriguez Papel Higienico, Bilbao, „Hannover“.

Lucyna Messal, Warszawa...

Dalej figurowały w rubryce stały pobyt: Addis Abeba, Hajdunanas, Ateny, Marmarosz Sziget, Kutna Hora, Radom, Keczkemet, Bukareszt, Łódź, Middlsbourough, Kaliakra, Zgierz, Morro Nuevo, Nowy Sącz, Civita vecchia...

Kalifornji, a tembardziej profesora Williama Morrisa nie było na liście...

Fonetycznie wyglądał, bodaj najlepiej w tym spisie wiersz, który brzmiał jak fanfara.

James Castiglioni, markiz di Bassano, Brno, Hotel „Impérial“.

Rytm tego frazesu ogromnie się podobał Przybramowi. Wychudły docent poruszył blademi wargami, wyszeptał: James Castiglioni, markiz di Bassano, Brno, Hotel Impèrial, napisał to zdanie kilka razy na marmurowym blacie.

Próbował wyobrazić sobie, jak człowiek o tak dźwięcznem nazwisku wygląda, co robi, i gdzie będzie za dwa lata. Zastanowił się też przez chwilę, czy nie wartoby mu posłać — za ostatnie grosze bukietu ponsowych róż z napisem „moriturus te salutat".

Kiedy wyszedł z kawiarni — pusto już było nawet na ulicy Głównej. Jaskrawe ślepia witryn sklepowych przygasły i tylko czerwony Mars palił się jasno na niebie, jak latarnia w podejrzanym zaułku. Przed barem stał wózek dwukołowy z transparentem, na którym wymalowana czarna ręka wskazywała łaskawie przechodniom najbliższą drogę do „Maxhofu" — Bal paré! Dancing! Tabarin! Chat noir! Kwartet smyczkowy! Ceny przystępne!

Jakaś postać, owinięta w czerwony błyskotliwy płaszcz, minęła Przybrama, rajery musnęły go po twarzy, zapach mocnych perfum uderzył w jego nozdrza i spojrzenie podczernionych oczu przeszyło go nawskroś. „M-tak, dać drapaka do Argentyny" grzmiał zakatarzony baryton przez drzwi uchylone.

— Nie. Nie jestem im potrzebny. Ani ja, ani moje zimne płomienie — rozmyślał Przybram. — Trzeba było zostać baletmistrzem i skomponować drapaka do Argentyny...

Wrzucił list do skrzynki pocztowej pod Kolumnadą i ciemną dróżką, która biegła od kramów do placu kościelnego, wrócił do hotelu.

„Pod złotą koroną" spali już wszyscy. Okna były ciemne, tylko w oficynie poprzecznej, w poko-

ju, położonym akurat nawprost numeru jedenastego — ciemnej klitki, w której od trzech tygodni rezydował Hubert — paliło się światło. Jakaś figlarna, tęga osoba w krótkiej koszulinie krygowała się przed lustrem, przymierzając czerwoną bluzkę batystową, najwidoczniej niedawno nabytą w sklepie. Z trzech póz zasadniczych: a) prawa ręka na biodrze, lewa podniesiona do góry, b) prawa lekko puszczona, lewa na biodrze i c) obie ręce wolno, kibić zlekka przegięta, prawe ramię naprzód — Przybramowi najbardziej podobała się ta trzecia. Nie mógł jednak zawiadomić o tem damy z przeciwka. Siedział po ciemku — w obawie, że ją spłoszy. Nałożył binokle, oparł czoło na zimnej szybie i myślał, że widok tej czerwonej bluzki na wydatnym torsie będzie może ostatniem jego mocniejszem wrażeniem. Wkrótce już uśpionych nerwów żaden kształt ani kolor nie poruszy, wkrótce już zimne gałki oczne będą patrzyły, nie widząc...

Wkrótce? Dlaczego właściwie odsuwać tę chwilę tak daleko? Co kto zyska na tem, że obdarty doktór Przybram będzie się błąkał po żwirowych ścieżkach i asfaltowych chodnikach tej nudnej mieściny? Że zje trzy razy po dwie bułki z masłem, przeczyta dwanaście gazet, nakręci dwukrotnie zegarek kieszonkowy i zdejmie cztery razy buty po to, aby je nazajutrz zasznurować nanowo? List wysłał, kilka słów pod adresem władz miejscowych napisać może po ciemku, ołówkiem, na kolanie... O cóż więc chodzi?

Przybram wstał, pokręcił się po pokoju, sięgnął do starej torby podróżnej. Wyczulone w długoletniej pracy laboratoryjnej palce trafiły odrazu na probówki szklane i jęły je przesuwać delikatnie, pieszczotliwie, łagodnie.

— Numer pierwszy, drugi, trzeci — baryty. Numer czwarty, piąty, szósty — stront, numer siódmy, ósmy — wapień... Teraz — roztwory metalowe w zalakowanych tubkach... Jest! Numer trzynasty... Korek szklany, zatopiony parafiną. To.

Nalał wody do szklanki, wprawnem uderzeniem rozbił probówkę, położył się na krótkiej kanapce.

— Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy — liczył wolno. — Teraz już chyba roztwór jest nasycony. Dwadzieścia cztery...

Ciecz miała smak dziwny. Rozpuszczona kreda? Proszek do zębów? Węgiel drzewny?

IV.

CASTIGLIONI.

Nazajutrz był dzień rozkoszny, ciepły, słoneczny i deptak pod Kolumnadą zalała od rana ciżba tak gęsta, że nawet mrówka, wyolbrzymiona do postaci ludzkiej, musiałaby oszaleć w tym tłoku i ścisku. Ci i owi kuracjusze próbowali — zgodnie z przepisem lekarskim — wędrować statecznie po linji prostej, od przeczyszczającego „Kreuzbrunu" do żelazistego „źródła Ferdynanda". Ale fala porywała ich natychmiast, miotała nimi, jak spieniony Malstroem miota szczątkiem okrętu, niosła ich od straganów z gazetami pod kiosk orkietry dętej, wygrywającej co tchu w płucach starego walca Waldteufla. Człowiek najtęższy stawał się tu poprostu molekułą, drobiną z kinetycznej teorji gazów, cząsteczką, która pod ciśnieniem kilku atmosfer zakreśla zygzakowate meandry, tłucze z impetem o inne drobiny, zbacza z drogi pod kątem prostym, nie tracąc zresztą energji pierwotnej. Nawet cadyk galicyjski nie mógł się tego dnia przedrzeć

przez tłum śniadych Węgierek i stał ze świtą, odzianą w atłasowe chałaty, na marmurowych stopniach przy wejściu, gładził brodę i cmokał w zamyśleniu językiem o podniebienie.

Około godziny jedenastej zawiesiste morze głów, stłoczonych przy „Kreuzbrunie", zakotłowało się raptem gwałtownie, jak powierzchnia wody pod działaniem śruby okrętowej. Syrop ludzki skłębił się, zagotował, zabulgotał.

— Proszę się usunąć! Proszę mi dać drogę! — usiłował ktoś mocnym, młodzieńcym głosem przekrzyczeć walca Waldteufla. — Muszę biec na ratunek! Rozumiecie, panowie?! Chodzi o życie ludzkie! Z drogi!

Pałeczka kapelmistrza znieruchomiała. Orkiestra umilkła nagle. Jakaś cisza niesamowita padła na tłum wielojęzyczny.

Ścieżyną, z trudem wyoraną w tem zbiegowisku, pędził człowiek. Dawał nurka, jak pływak, tam, gdzie nie mógł rozbić przeszkody, odbijał się, jak piłka tennisowa, od sprężystych brzuchów osób korpulentnych i, nim ktoś komuś zdążył odpowiedzieś na pytanie „co się stało?", wypadł na aleję, prowadzącą na placyk kościelny. Pod górą, na zakręcie błysnął między drzewami jego pomarańczowy „cardigan", słońce zapaliło aureolę nad jasną, wypomadowaną głową i... Walc zadudnił na nowo, fale na deptaku połączyły się i zabulgotały jeszcze głośniej. Nikt sobie nie będzie przecież psuł kuracji dla jakichś tam wybryków.

Jasnowołsy szybkobieg przeleciał obok hotelu Sterna, obok domu Goethego i dopadł wreszcie do niskiej bramy hoteliku „Goldene Krone". Dzwonek elektryczny, nieprzyzwyczajony do dotknięć tak brutalnych, zabrzęczał głośno i przeraźliwie.

— Halo! — Jest tam kto? Balduf! Balduf Hans, nie Feliks! Co u djabła!

Przybysz chwycił za nogę stołek w podsieniu i jął nim z całych sił walić w ścianę.

Pomocnik portjera, Balduf (Hans), miał czarne, sumiaste wąsy, przypominał zlekka pierwszego skrzypka z orkiestry cygańskiej, ale posiadał jednocześnie flegmę dyplomaty angielskiego. Był świadkiem różnych tragedyj w tem uzdrowisku: widział, jak ludzie gubią kwit bagażowy, jak siadają do fałszywego pociągu, ale nigdy dotąd nie słyszał, żeby ktoś wszczynał rwetes tak szalony i bił poprostu krzesłem o ścianę. Otworzył szeroko usta, patrzył ze zdumieniem na eleganckiego szaleńca i mierzył go wzrokiem od stóp na gumowych podeszwach *(Crepe Rubber Soles)* aż do czubka głowy, uczesanej z angielska.

— Jestem.

— Pan doktór Przybram??!...

— Mieszka. A jakże, mieszka. Od podwórza. Pierwsze piętro, jedenasty. Trzy tygodnie już mieszka. Klucza w szafce niema — pan doktór jest w domu. Żeby aż taki hałas robić — przepraszam, że to mówię...

— Ma pan klucz zapasowy od numeru jede-

nastego? Ma pan wytrych, ma pan łom żelazny pod ręką?

— Wytrych? Łom żelazny? Pod „Koroną"? Pan nas ma za szajkę rozbójników.

— Jestem James Castigioni. Odpowiadam za wszystko! Weźmie pan tę maczugę — tę łopatę i popędzi pan ze mną pod numer jedenasty. Już! Hopla! Będziemy musieli prawdopodobnie drzwi wyważyć. Tylko cicho, spokojnie, żadnych krzyków, bo jestem bardzo nerwowy. Nie lubię gwałtu. Naprzód!

Wątłe drzwi pokoju jedenastego po kilku mocniejszych szarpnięciach rozwarły się natychmiast. Na czerwonej, pluszowej serwecie stołu leżała kartka papieru, zabazgrana ołówkiem i kilka banknotów. Na podłodze, w kałuży wody, cieknącej z rozbitego dzbanka, pływał sterany, czarny kapelusz filcowy, resztki zwęglonych papierosów i kilka kołnierzyków. Z otwartej torby skórzanej płynęła białą kaskadą koszula nocna.

— *Jessas, Maria und Josef!* — biadał Balduf, zrozumiawszy wreszcie, o co chodzi.

— Musi pan zawiadomić policję. Spóźniłem się. — W liście pisze, że dopiero za trzy dni i... macie państwo. Nie lubię, ogromnie nie lubię, kiedy ludzie nie dotrzymują słowa!

Przerażony Balduf wycofał się na korytarz i niskim, basowym głosem, w niezrozumiałym zresztą dialekcie — konferował z piegowatą pokojówką.

Castiglioni usiadł na krześle, westchnął głębo-

ko, wyjął z kieszeni list i czytał go uważnie po raz czwarty:

„Mr. W. P. Morris, Pasadena, Kalifornja. Panie, nazywam się Hubert I. Przybram..."

Castigloni wyciągnął szyję, wspiął się lekko na palcach i badał ciekawem spojrzeniem wyciągnięte na głupkowatej, hotelowej kanapce zwłoki. Zniszczone, wydeptane, jasnożółte buty, chude nogi w czarnych wyplamionych spodniach, wyrudziałe palto, jakiś zielony krawat, zawiązany na supeł, mosiężna spinka, wygnieciony kołnierzyk. W bladej, źle ogolonej twarzy, istniały właściwie tylko mocne, gęste, czarne brwi i ciemne, głębokie, fascynujące oczodoły, które nagle...

— Chryste Panie! — zerwał się Castiglioni na równe nogi. — Ten człowiek żyje! Przybram! Panie doktorze Przybram!

— Jestem — rzekł denat jakby go wyrwano do lekcji. — Przynajmniej tak mi się zdaje.

Usiadł na kanapce i, zmarszczywszy czoło, wpatrywał się w swego wykwintnego gościa.

— Chwała Bogu! Brawo! Świetnie! — cieszył się Castiglioni. — Panie, i nic panu nie jest? Ręką, nogą, głową może pan ruszać, co? Może lekarza sprowadzić?

— Nie trzeba.

— Na kartce pan pisze „proszę nikogo nie winić", tu znów jakaś szklanka z mętną wodą? Panie, nie ulega żadnej wątpliwości, pan tu jakieś kolo-

salne głupstwo palnął! Pan się targnął... Jakiem prawem u stu djabłów? Jak pan śmiał?

— Przepraszam, jestem u siebie. Wolno mi czynić, co mi się podoba. Targnąłem się — nie przeczę — zawsze to robię wieczorami. Dlaczego pan się wtrąca do moich spraw?

— Ten list...

— Jaki list?

— List pan do mnie napisał!

— Ja? Kto pan jest?

— James Castiglioni...

— James Castiglioni, markiz di Bassano, Brno, Hotel Impérial?

— Właśnie!

— Znam pana świetnie — z literatury meldunkowej. Czytałem pańskie nazwisko w spisie przyjezdnych. Zresztą — nic nie rozumiem.

— Ja byłem dziś rano w tem samem położeniu! Otrzymuję w hotelu kopertę — do mnie adresowaną — otwieram... Ktoś mi prawi o rezonatorach, o zimnych płomieniach i wogóle nazywa mnie profesorem Morrisem. Mam dość pokaźną korespondencję, ale nikt do mnie dotąd się nie zwracał, jako do „Radiatora X."! Chciałem to wrzucić do kosza, dopiero Nelli...

— Co za Nelli?

— Zaraz! Dopiero Nelli powiada mi: nie widzisz, że tu ktoś chce popełnić samobójstwo? Ratujmy go! Dobrze. Ratujmy. Pan będzie łaskaw włożyć kapelusik — idziemy na śniadanie.

— Przepraszam pana...

— Niema „przepraszam"! Najgorsze jest, że ludzie zawsze gadają tam, gdzie trzeba działać.

Castiglioni biegał po pokoju, obijał się o stołki, o komodę, o idjotyczny hotelowy stół z trzeszczącym blatem, umieszczonym fatalnie na jedynej nodze.

— W coby tu pana ubrać? Wszystko jedno. Musimy co prędzej stąd uciec. Zaalarmowałem całą ruderę — jeszcze nam policję na kark sprowadzą. Zacznie się dochodzenie, skąd, kiedy, dla jakich powodów. Truć się panu wolno przecież tylko w specjalnych zakładach gastronomicznych.

To mówiąc, podniósł docenta doktora Przybrama, porwał go, jak wicher porywa nić babiego lata i ku zdumieniu sumiastowąsego Hansa i piegowatej Lotty, pędził z denatem po schodach, gwiżdżąc „drapaka do Argentyny".

— *Es war ein Scherz, Hans!* — wołał już z przedsionka na dole.—Kładę tu, na stoliku, klucz i pięćdziesiąt koron. Proszę tam wypisać rachunek! Zgłosimy się po obiedzie, o czwartej! Addio!

Bufetowa z małej cukierenki „pod zegarem" miała tego ranka widok dość zajmujący. W najciemniejszym kącie pustego o tej porze lokalu, między wejściem do kuchni i wieszakiem na ubrania, siedzieli dwaj panowie. Jeden we wzorzystej, najmodniejszej kamizeli, spiętej zamszowym paskiem, w amerykańskich półbutach na podeszwach z prze-

zroczystego *india-rubber*, w popelinowej koszuli,— drugi... Nawet jako „morfinista" w kinodramacie byłby zupełnie niemożliwy. Wszelka sztuka musi łagodzić okropności życia i nawet wykolejeniec, nawet osobnik upadły powinien mieć porządnie zapięty kołnierzyk.

Bufetowa przez wąską lukę między stosem opłatków marjenbadzkich i nasypem z „murzynków czekoladowych" patrzyła okiem przerażonem na obu panów i próbowała odgadnąć, o czem oberwus rozmawia tak poufale z bon-vivantem, dlaczego przeskakuje z języka francuskiego na niemiecki i z niemieckiego na angielski, dlaczego pokazują sobie jakiś list i jaka tu właściwie część sensacyjnego filmu rozgrywa się za ladą?

— Dwóch rzeczy nie pojmuję — mówił tymczasem Przybram. — Po pierwsze: jakim sposobem wypisałem pańskie nazwisko na kopercie, po drugie: jakim cudem ja jeszcze żyję? Przecież ta dawka mogłaby zabić nawet słonia w ogrodzie zoologicznym?

— Niech pan je, drogi panie, niech się pan o nic nie troszczy. Jakoś to sobie tam powoli wytłumaczymy. A gdyby nawet nie — wszystko jedno! Powiem panu szczerze, że rzeczy, których nie rozumiem, bardziej mi się podobają od tych, które rozumiem. Tu jest naprzykład pewien Rumun. Fascynująca osobistość. Nie wiem, czy on fałszuje w grze i chce wygrać, czy też lansuje fałszywe pieniądze i chce dobrowolnie przegrać... Ale gadam

bez sensu — polecam panu te rogaliki, to ich specjalność.

Przybram zjadł rogalik, trzy jajka w szklance, po wiedeńsku, wypił dwa melanże, zapalił papierosa „Abdulla".

Po raz pierwszy od lat wielu ktoś się nim opiekował, zwracał na niego uwagę. Zato, ilekroć próbował pchnąć rozmowę na tory filozoficzne, ilekroć usiłował zastanowić się głębiej nad przyszłością, Castiglioni przerywał mu natychmiast:

— Pan ma wysokości metr siedemdziesiąt siedem. Numer kołnierzyka prawdopodobnie trzydziesty ósmy. Wie pan — to ubranie, które mi Nastupil skrócił, będzie dla pana w sam raz... Niech mi pan powie, dlaczego pan chciał takie głupstwo palnąć?! Pan jest przecie rozsądny człowiek. — Co to rozsądny! Nelli mi czytała list pański. Pan jest — jak to on się nazywał? — Prometeusz! Tak jest, niech pan nie zaprzecza — Prometeusz! Nelli mi na to zwróciła uwagę. Ogień z nieba — ja coś o tem czytałem. Mój kochany panie, dlaczego pan sobie życie odbierał?

— Wyczerpałem poprostu wszystkie zasoby. Bankrut — kompletny bankrut...

— Aha! To pan ma długi?

— Nie. Nikt mi nigdy nic nie chciał pożyczyć. Uważam się za bankruta, bo postawiłem wszystko na niewłaściwego konia. Nauka? odkrycia? wynalazki? Dzisiaj? Poco to komu? Dziś chodzi o zarobek szybki i pewny. Ja jestem maszyną z innych

czasów, nie *opłacam się*, nie *wytrzymuję kalkulacji*, spalam węgiel, a nie wykonywam pracy — postanowiłem więc samego siebie wyrzucić na szmelc... Myślę, że Prometeusz, o którym pan markiz raczył łaskawie wspomnieć, na mojem miejscu uczyniłby to samo. A może pan przypuszcza, że chodziłby na giełdę i usiłowałby przewidzieć, kiedy *Cux'y* podskoczą i czy *Standard-Oil* spadnie na ultimo?

Do czego ja się mam wziąć właściwie?

— Bardzo rozsądne pytanie — rzekł Castiglioni. — Bardzo. Niech pan tedy uważa, panie doktorze. Weźmie pan ten klucz, pójdzie pan do hotelu „Impérial", pierwsze piętro, numer szósty — ja tam zresztą do nich zatelefonuję. Tym kluczem otworzy pan szafę, a tym walizkę. Polecam panu gorąco garnitur marengo. Musi się pan przedewszystkiem zabrać do odświeżenia własnej powierzchowności. Reszta — to drobiazg. Kiedy mnie w życiu spotyka jakie nieszczęście, zamawiam nowe ubranie, albo idę poprostu do kąpieli. W wannie na 29 stopni znikają mniejsze kłopoty, prysznic usuwa wieksze zmartwienia. O drugiej czekam na pana w restauracji, u Sterna. Zajmę się tymczasem sprawami pańskiemi — nie będzie pan przecie wracał do tego nieszczęsnego numeru jedenastego. Ale! — tu jest trochę drobnych na wydatki nieprzewidziane. I — proszę — ten banknot. Pięć funtów angielskich.

— Dziękuję panu... Nie wiem doprawdy, czy mam prawo...

— Ma pan prawo. Prosta usługa koleżeńska. Ja też jestem wynalazcą: w barze „Monico" w Wiedniu przyrządzą panu coctail à la Castiglioni — mój pomysł, oryginalny! Do widzenia! Niech pan pamięta: numer szósty, szuflada na lewo, garnitur marengo, o drugiej u Sterna, — pieniądze może pan zmienić w Escompto-Bank.

V.

PRZEMIANY.

Pieniądze nie dają szczęścia, ale zmieniają gruntownie samopoczucie. Przybram, który się snuł wczoraj jeszcze jak blady cień po ulicach kurortu, wyszedł z cukierni krokiem śmiałym i pewnym. Marjonetki z ulicy Głównej nie robiły już na nim wrażenia. Patrzył śmiało na rabina z Bełzca i jego atłasowy chałat, na śniade Węgierki w jedwabnych dżemprach, na Niemców w zielonych kapelusikach myśliwskich i na Lwowian w sztywnych, wykrochmalonych koszulach.

Nadeszły pisma poranne i całe ich stosy leżały przed sklepikami, na krzesłach i na flizach chodnika.

— Tageblatt, Narodni Listy, Chicago Tribune, Az Est, Czas, Adverul — zachwalał swój towar właściciel sklepu tabacznego, usiłując trafić na narodowość dziwnego klienta.

Przybram kupił „Chicago Tribune", paczkę pa-

pierosów egipskich. Kupił też brzytwę i mydło do golenia. Jakiś nowy duch w niego wstąpił.

— Co to za rozkosz — myślał. — Oddać się komuś w niewolę, nie liczyć tych pieniędzy po kieszeniach, uwolnić mózg z pod wieczystej opresji cyfr. Mam pięć funtów na drobne wydatki — chcę, to zafunduję sobie wieczne pióro, maszynkę do strzyżenia koni i „psychoanalizę" Freuda.

Kasjer w „Escompto-Bank" spojrzał na Przybrama podejrzliwie, ale pieniądze zmienił. Docent nabył natychmiast, w sąsiednim sklepie, jedwabną chustkę do nosa, pantofle na gumach i mały neseser. Mimo to banknoty wciąż jeszcze rozpychały mu kieszeń, nieoswojoną widocznie z sumami tak wielkiemi.

W „Imperialu" powiedział portjerowi krótko, tonem niedbałym:

— Proszę... Pokój markiza Castiglioni?... Pan markiz telefonował już, nieprawdaż?

Zawieziono go oszkloną windą na pierwsze piętro. Wszedł do jasnego, balkonowego pokoju. Słońce skrzyło się w lustrzanych szybach, w kryształowych flakonach, zalewało strumieniem złocistym wywoskowaną posadzkę. Na fotelu leżała jedwabna, pstra „pyjama", na otomanie waliza z jasnożółtej skóry, rakieta tennisowa i książka w czerwonej okładce.

— Zobaczymy, co ten człowiek czyta. Dowiedzmy się, kim jest nasz dobroczyńca i jakie ma upodobania — myślał Przybram.

Na okładce, literami kunsztownie stylizowanemi, wydrukowany był tytuł:

MAN-JONGG, gra chińska.

Jej zasady i jej reguły.

— Dziwna przygoda. Ale co tam! Niech mi się zdaje, że doktór Przybram umarł — jak zresztą był powinien — wczoraj po północy. Zmieniam własny ciężar gatunkowy, gwiżdżę walca z „Zemsty nietoperza" i puszczam się na najdziksze awantury. Gdybym tylko wiedział, który to jest garnitur „marengo" i co to słowo wogóle oznacza w konfekcji? Marengo? Bonaparte zwycięża Austrjaków... — w jaki sposób genjusz ludzki zamienił ten fakt dziejowy na marynarkę i spodnie?

Punktualnie o godzinie pierwszej minut trzydzieści portjer hotelu „Impérial" przeżył najbardziej zdumiewający moment swojej długiej karjery służbowej. Przed godziną wpuścił był do numeru szóstego włóczęgę i obieżyświata, osobistość tak dalece podejrzaną, że — mimo rozkazów telefonicznych pana markiza — kazał dla pewności zorganizować pogotowie na pierwszem piętrze, a już po upływie kilku kwadransów ujrzał nagle na czerwonym, puszystym dywanie w korytarzu sportowca i gentlemana w świetnym angielskim garniturze.

Gentleman pachniał perfumami Atkinsona, pogwizdywał fałszywie, wymachiwał laseczką i z tak wielkopańskim gestem rzucił mu trzydzieści koron, że dygnitarz, który tu jeszcze przecież króla Edwarda pamiętał, oniemiał, zdjął czapkę, zgiął się w ukłonie i długo jeszcze trwał w tej pozycji.

— Widzimy — filozofował, — co ubranie z ludzi robi. Żeby się jeszcze ostrzygł i wąsiska zgolił— hrabia. Co tu gadać — hrabia.

Tak padło po raz pierwszy to gromkie słowo w zestawieniu z doktorem Przybramem.

U Sterna, na miejscu honorowem, w niszy narożnej pod oknem, siedział Castiglioni z człowiekiem tak potwornie otyłym, że wyglądał jak żywa reklama wielkiej fabryki pneumatycznej. Stół trzeba było dla niego wysunąć o pół metra na środek sali; mimo to sprężysty brzuch owego pana wywierał wciąż jeszcze mocne ciśnienie na obrus, na serwetki, szklanki, nakrycia, które ciążyły widać ku tej masie, bo przysuwały się ku niej stale ruchem łagodnie przyspieszonym.

Okrągły jegomość miał zresztą twarz chłopięcą, cerę różową, włosy „na jeża" — był sympatyczny. Dziwne było tylko, że się trzyma na powierzchni ziemi bez sznurka i że nie frunie, jak dziecięcy balonik w powietrze.

Dwaj panowie rozprawiali z ożywieniem i Przybram musiał chrząknąć, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— O, właśnie! — zawołał Castiglioni. — Jest! To on! Pan doktór Przybram — pan dyrektor Geza Nirenstein... Świetnie! Doskonale pan wygląda! Krawat trzeba zmienić, wąsy przystrzyc, włosy — ale to głupstwo. Wygląda pan, jak członek izby lordów na wywczasach letnich. Jak pan sądzi, dyrektorze?

Geza Nirenstein posadził Przybrama obok siebie, nalał mu wina do szklanki.

— Musimy przedewszystkiem denata trochę utuczyć. Będzie pan jadał rzeczy mączne, sardynki, ostrygi, będzie pan pijał porter. Ach, panie, żebym ja tak mógł! Człowiek, któremu wolno jest jadać gęś pieczoną i strudel po wiedeńsku, godzi na swoje życie! Nigdy tego nie zrozumiem. Co to pan wynalazł, panie?

— Zimne płomienie! — rzekł Castiglioni. — Jakaś kolosalna rzecz, dyrektorze. Nie wiem, o co chodzi, ale imponująca historja. Przewrót, zupełny przewrót...

— Jakto? i nie znalazł pan kapitalistów?

— Kołatałem do różnych drzwi — rzekł Przybram, odkładając na chwilę łyżkę. — I ja i profesor Suess z Wiednia, i profesor Garbasso z Florencji, który w moje odkrycie wierzy. Towarzystwo „Montana“ wyznaczyło mi nawet ongi drobniejszą sumę na badania. Był czas, że miałem grubsze pieniądze: trzysta dolarów, które wpakowałem w aparaty. Ale cóż — doświadczenia są kosztowne, a lu-

dzie dzisiejsi tacy dziwni. — Może pan co innego wynajdzie — mówią. — Coś prostszego, prędszego.

— Racja! — wtrącił Castiglioni. — W kartach jest to samo. Nikt dziś nie chce grać w preferansa, bo to trwa za długo. Wszyscy grają w baka. Teraz grunt — to prędka rozgrywka.

— Widocznie mój pomysł wymaga zbyt długiej rozgrywki. Odsyłano mnie od Annasza do Kaifasza, zbywano niczem. Czułem się, jak natrętny kwestarz. Na sam mój widok twarze się wydłużały, jakieś zniecierpliwienie ogarniało ludzi. Towarzystwa naukowe uważały mnie za manjaka, towarzystwa finansowe za warjata. Być może, że mój projekt nie ma doprawdy wartości handlowej...

— Hm... Niech mi pan wytłumaczy, krótko, zwięźle, o co chodzi. Uprzedzam, że mnie wyrzucono z piątej klasy i o nauce pojęcia nie mam. Niech pan je, niech się pan nie przejmuje. Niech pan mówi zupełnie spokojnie! Więc? Polecam panu te knedle.

Przybram jadł knedle, rysował widelcem figury w powietrzu. Potem pił złotawe wino z kielicha, który przedziwnie załamywał światło słoneczne, — operował jakiemś dziwnem, posrebrzanem narzędziem strasznego homara. Chwilami zjawiały się w jego polu widzenia czary greckie, napełnione truskawkami i kremem, to znów jakieś pozłacane, minjaturowe filiżanki i lilje szklane, nalane zielonym płynem.

Po raz pierwszy chyba wykładał optykę i teorję elektronów w takiem otoczeniu.

— Chcę, poprostu, dać ludziom światło, które dziś z ogromnym trudem z węgla, nafty, z dymomaszyn wydobywają, — za darmo, gratis. W każdym razie — za bezcen. Gdybym mój pomysł urzeczywistnił, światło możnaby nabywać byle gdzie, w kawałkach, w workach. Sprzedawanoby je na podwórzach, jak piesek rzeczny. Chce pan oświetlić — dajmy na to — salon. Posyła pan do dystrybucji po worek piachu, wystawia go pan na balkon — po stronie słonecznej, — piach absorbuje za dnia energję i wieczorem cały balkon świeci różowo, biało, zielono — jak panu wygodniej.

— Jakto? bez licznika? — zdziwił się grubas.

— Bez licznika. Gratis!

— Panie, a co poczną towarzystwa elektryczne? AEG? Siemens? Schuckert? — Plajta?

— Plajta — rzekł łagodnie Przybram. — Żaden postęp nie może się obyć bez ofiar. Zawsze, kiedy ulepszamy samochód, krzywdzimy przez to dorożkarza... Ci ludzie wynajdą sobie inne zajęcie, skierujemy ich pracę w inne łożysko.

— A lampek elektrycznych też nie będzie? Tungsram? Osram? Wolfram?

— Nie — rzekł Przybram. — Zastąpi je pierwsza lepsza rozbita doniczka. Nasypie pan do wnętrza trochę proszku — będzie świeciła lepiej od lampy łukowej.

— Za darmo? — dziwił się grubas.

— Za darmo. W każdym razie za jakieś śmieszne grosze. Materjały, których do produkcji używam, są pospolite i tanie. A „radiator X"... nie wiem jeszcze, co prawda, jaki będzie, ale trzeba go tak mało... Szczypta — kilka gramów na cały wagon *sproszkowanego światła*...

— Wagon światła! — ucieszył się Castiglioni. — To piękne! Jednej rzeczy nie rozumiem: Knot?! Gdzie pan umieszcza knot?

Knot... Przybram musiał rozpocząć całą historję na nowo: elektrony, rezonatory drobinowe, zjawiska fotoelektryczne.

Wreszcie grubas huknął pięścią w stół, odsapnął i rzekł:

— Wiesz co, James? Finansujemy ten interes. Co my właściewie mamy do stracenia? Chodzi poprostu o to, żebyś przysiedział fałdów, żebyś wygrał od Rumuna jakąś grubszą sumę. Kelner! dajcie tam butelczynę szampana. Musimy oblać tę tranzakcję.

Aż do tej chwili docent Przybram mówił bardzo logicznie, chociaż w pewnych wyrazach opuszczał samogłoski, a w innych nawet sylaby. Dopiero, kiedy umoczył wargi w złotawym, musującym płynie, sytuacja zmieniła się o tyle, że myśl biegła sobie, radośnie podrygując, w jedną stronę, a słowa koziołkowały w inną.

— Pan mnie nazywa Przybram — zwierzał się grubasowi, — a ja wcale nie jestem Przybram. I — wogóle — niema mnie. Nie istnieję.

— Jakto?

— Spaliłem wczoraj pasport. Myślałem, że i tak koniec — przytknąłem zapałkę do kupy starych papierów. Spaliłem. Niech mi pan powie, czy w dzisiejszym świecie może istnieć dorosły człowiek, zupełnie, całkowicie pozbawiony pasportu? Ja myślę, że policja mnie zawezwie i każe mi umrzeć. Jak pan sądzi, panie Geza?

— A gdzież pan się urodził?

— We Lwowie. Tak się złożyło, że we Lwowie. Panie, ja mogę wynaleźć „rezonator X", ale nie mogę przecież — tak z niczego — wyrobić sobie pasportu? Nie, panie, teraz widzę, że nie mam żadnej racji bytu. Muszę zginąć...

— Zaradzimy i na to, doktorze — uspokajał go dyrektor. — Przekroczyliśmy już, Bogu dzięki, miarę, ludzkość tonie w papierze, każda Łotwa wypisuje legitymacje, przybija pieczęcie, stawia stemple, w każdem biurze Cooka, u każdego szwajcara w barze i w magistracie, leżą sterty tych druczków. Dziś pasport nie ma znaczenia, stracił sens. W zeszłym roku miałem takie zdarzenie. Jestem w Karlsbadzie i otrzymuję depeszę, wzywającą mnie do Hamburga. *Bon* — idę do *Tourist Office* i proszę, żeby mi w Pradze wyrobiono wizę. Co tu dużo gadać — oni to, jak panu wiadomo, przesyłają pocztą — mój dokument ginie gdzieś po drodze. Rozpacz. Śmierć cywilna! Ani naprzód — ani wtył! Dopiero portjer w hotelu powiada mi: Głupstwo! Niech się pan nie martwi! Zostawił tu u nas nie-

dawno pewien emir afgański swój „feuille-deronte" — pan jest łudząco do niego podobny. Niech pan tylko brodę zapuści i turban wdzieje. — Cóż miałem robić? Zapuściłem brodę, wdziałem turban, podróżowałem wagonem salonowym ze trzy miesiące. W Dreznie urządzono nawet na moją cześć bankiet w ratuszu. Poznałem osobiście Ryszarda Straussa, wysłuchałem „Lohengrina" i podpisałem w imieniu rządu afgańskiego jakiś traktat handlowy. Jak pan się chce nazywać, doktorze? Szuwałow? Azarbejdżanc? Urusow? Martinez y Bilbao? Sierra de Guadarranca? Albo wie pan? coś węgierskiego — Arpad hrabia Mindsenthy!... Pańskie zdrowie, hrabio!

Wznosili wogóle różne toasty. Zdrowie cesarza chińskiego, Dalaj Lamy, czterech stron świata, zdrowie bożka Merkurego i planety o tej samej nazwie — aż wreszcie...

Wreszcie stał się poprostu cud. Nelli...

VI.

MIŁOŚĆ I SAMOCHÓD.

Jakaś postać wyśniona, świetlista, lśniąca od barw iryzujących, od których się w oczach ćmiło, jakaś twarz śniada w aureoli rozwichrzonych włosów jasnozłotych... I tego rodzaju zjawa podaje rękę grubemu Nirnsteinowi, mówi dźwięcznie: „Bon giorno, James" i siada na kanapie! Przybram mrugał powiekami, jakgdyby mu kazano patrzeć podczas kulminacji w jarzące słońce wiosenne.

— To jest nasz denat, Nelli — prezentował Castiglioni. — Pije wcale nieźle, opowiada anegdoty. Jeszcze z niego będą ludzie. I wszystko wie! Na pamięć, na wyrywki. Ile Mars ma łokci obwodu i kiedy Kolumb odkrył Amerykę, z czego się składa kreda i dlaczego na Mont Blancu przez cały rok śnieg leży. Zdumiewające doprawdy. I takiemu człowiekowi społeczeństwo każe mieszkać od podwórza, w hoteliku „Goldene Krone"! Pogadaj sobie z nim, odwieź go do domu. Będzie mieszkał w „Bristolu". Ja z Gezą mamy jeszcze konferencję

na mieście. Do widzenia, panie doktorze. Jestem oczarowany. Oczarowany.

Przybram został sam na sam z Nelli. Wyjęła z torebki sztyfcik karminowy i, różując wargi, mówiła poważnie:

— W tej chwili właśnie wysłałam list pański do Ameryki. Z krótkim dopiskiem, że pan żyje i że już nigdy, nigdy nie będzie pan myślał o... podobnych głupstwach. Przyrzeka mi pan?

— Przyrzekam!

— Proszę mi spojrzeć w oczy. Tak. Dziękuję. Niech pan sobie dobrze zapamięta, że ja dałam słowo profesorowi Morrisowi, którego nie znam, — ręczyłam, nie mogę się skompromitować w Ameryce. Musi pan słowa dotrzymać. Dotrzyma pan?

— Dotrzymam.

— Takie szaleństwo — i to dlaczego? Dla pieniędzy! Pan nie ma nikogo na świecie? Żadnej osoby bliskiej, kochanej?

— Teraz mam... Ale wczoraj...

— Co wczoraj?

— Wczoraj nie miałem. Nie przypuszczałem nawet, że takie cuda się dzieją i że — czasem — na tej samej restauracyjnej kanapie... Pani daruje, nie umiem mówić. Porozumiewałem się dotąd z ludźmi przeważnie wzorami algebraicznemi. Pani! Kiedy pomyślę, że to pani ocaliła mi życie, że to tej historji zawdzięczam znajomość z panią — mam ochotę pijać cjankali co wieczór, cykutę co rano. Jakieś głupstwa plotę, prawda?

— Owszem. Ale to dobry znak. Widocznie wraca pan do zdrowia. Dlaczego pan sobie tak fatalnie życie urządził? dlaczego pan nie uprawia sportów? Dlaczego się pan tak czesze?...

Szybkim ruchem pachnącej dłoni rozwichrzyła włosy prywatdocenta, wyjęła maleńkie, srebrne lusterko i kazała mu się przejrzeć.

— Pan mógłby z tego spleść warkoczyk, albo kok grecki! Nasze prababki nosiły takie fryzury. Jeżeli pan nie pójdzie po obiedzie do „Leonarda" i nie wyzbędzie się owej włosiennicy, zrywam z panem...

— Pod taką groźbą poszedłbym na tortury, nie tylko do Leonarda, który, jak przypuszczam, jest poprostu fryzjerem. Ja mam wogóle sporą dozę odwagi cywilnej... Żadnego Leonarda się nie ulęknę!

— Dobrze. Siądzie pan ze mną do samochodu. Jedziemy do hotelu — drogą okólną. Nie będzie się pan bał?

— Ja?! Chyba złożyłem dowody, że życie ma dla mnie wartość mniejszą, niż stary kalosz... Przepraszam: miało! Teraz się sytuacja cokolwiek zmieniła...

Przed podjazdem hotelu Sterna stał minjaturowy, czerwono lakierowany samochód. Miał formę torpedy, świetnie poniklowany kierownik, błyskał w słońcu i skrami strzelał, jak krwawy rubin, który jakiś figlarz w szary asfalt ulicy oprawił.

Nelli włożyła hełm skórzany na niesforną czu-

prynę, wdziała potężne rękawice i kurtkę szoferską.

— Niechże pan siada w tym kojcu i uważa, żebyśmy kogo nie przejechali. Będzie pan dawał znaki przechodniom, zwłaszcza na skrętach. Prawe ramię — tak, lewe ramię — tak, rozumie pan? Mniej więcej, jak drogowskaz, albo semafor kolejowy — *capisce?*

— Pani mnie ma za niedołęgę i za zawodowego idjotę. Ja nie z takiemi maszynami miewałem do czynienia! Coprawda — teoretycznie... ale w każdym razie znam je dokładnie z rysunków. Pani tu ma wewnątrz mały, gazospalinowy motorek Diesla, prócz tego...

— Dobrze, dobrze. Siadamy!

„Motorek Diesla" najpierw fuknął, potem strzelił, zafurkotał, jakgdyby miljard spłoszonych wróbli zerwał się do lotu, zadudnił, jak serce zdjęte trwogą i wreszcie, zdecydowawszy się widać raptem, cisnął czerwoną torpedę w błękitną przestrzeń.

Asfalt uliczny, chodniki, domy, jęły uciekać, jak pasy maszyny w warsztacie, latarnie, twarze ludzkie, zjawiały się i znikały momentalnie. Ktoś się uwziął i z pełnego worka sypał bez przerwy wrażenia optyczne na biednego prywatdocenta.

Samochód przeleciał obok hotelu „Hannower", okrążył zamaszyście „Kreuzbrunn", rozmiótł gromadkę żydów galicyjskich, przeciął ulicę Główną, mignął obok kawiarni Teatralnej...

— Czternaście godzin — myślał Przybram,—

ta sama kawiarnia, ten sam osobnik, a co za różnica! Ja tu sobie jednym gestem rozdzielam strumienie ludzkie, tratuję rabinów i dyplomatów, siedzę obok najcudniejszej kobiety na świecie, wiatr mi dobrotliwie włosy rozwiewa, słońce mi gorące całusy przesyła. Ciekawa rzecz, kogo tam los teraz tłamsi... Bo trudno przypuścić, żeby taki ogrom szczęścia mógł powstać z niczego, akurat w tem miejscu, gdzie buja znikomy, czarny punkcik ruchomy — doktór Przybram. Nie, musiało się coś radykalnie zmienić we wszechświecie... Musiało się coś stać w Naturze!

W naturze nic się nie stało, natomiast czerwona torpeda wypadła na szosę, wiodącą do Marxtalu. Droga wiła się serpentyną wśród łąk zielonych i te ustawiczne skręty bardzo źle podziałały na samochód: burczał gniewnie, poszczekiwał, jak wiejski kundel, otrząsał się, zataczał, jak pijany, szczękał błotnikami, ruszał groźnie skazówkami na wszystkich cyferblatach. Wreszcie rzucił się — ni stąd, ni zowąd — na jakiś spokojny, solidny słup telegraficzny, zaczepił go umyślnie kołem, objechał piętnaście razy, szczeknął ochryple, dał susa i stanął dęba, ciskając Przybrama pogardliwie na środek przydrożnej łąki.

Docent zakreślił w powietrzu łuk i wywinął koziołka, poczem wylądował łagodnie, twarzą do szosy. Widział też, że koła wściekłej bestji wciąż jeszcze się kręcą, że ludzie z okolicznych tarasów

kawiarnianych wszystkiemi ścieżkami biegną, jak przerażone mrówki, na miejsce wypadku.

— Nelli! — krzyknął wielkim głosem. Ale wstać nie mógł. Serce uczonego biło jak bęben na alarm, skóra na dłoniach piekła, — najgorsze zaś, że stracił nagle ochotę do wszelkich ruchów. Siedział na trawie i obserwował. Dopiero jakiś tęgi człowiek, w zielonym mundurze, postawił go na nogi.

— Co panu jest? — pytał ów urzędnik.

— Mnie?

— Tak. Panu. Chodzić pan może o własnej sile?

— Naturalnie. Przecież *mnie* się nic nie stało. Że nogi się trochę uginają... to z braku rutyny. Pierwszy raz wypadam z auta.

— Jest pan mocno okrwawiony. Tu — skóra na rękach i na przedramieniu zdarta...

— A prawda!... — zdziwił się Przybram.

— Zanotujemy: „ogólne obrażenia cielesne i lekki szok nerwowy". Mówić pan może swobodnie? Niech-no pan powie „Polizeiassessorensparkassenkonto" „Vrstva na hr. Brdskych". Niech-no pan się przejdzie trochę: lewa! prawa!

Ale Przybram nie miał już czasu na spełnienie tych skromnych życzeń. Cudne pachnące dłonie ujęły jego głowę, cudne karminowe usta całowały go w czoło.

— Biedny, biedny mój! Ręce we krwi! Okaleczyłam pana! Unieszczęśliwiłam pana!

— Ależ Nelli! kochana, złota! Jasnowłosa. — Nie! ja pani nie chcę dotknąć, bo, istotnie, ręce mam cokolwiek zapaćkane. Ale to nic! upewniam panią, że nic! Przeciwnie! Jestem najszczęśliwszym z ludzi! Nie oddałbym tej chwili za tryljony lat, za skarby Sezamu... za majątki Rotszyldów... za Golkondę i Koh-i-noora...

— Halt! — rzekł policjant. — Jak pan się właściwie nazywa?

— Ja? — rzekł Przybram. — To jeszcze nie jest zupełnie ustalone... Arpad hrabia Mindsenthy...

— Ta pani jest pańską żoną. Dobrze. Otrzyma pan awizację i zapłaci pan karę za wywrócenie słupa telegraficznego i niedozwoloną szybkość. Tak.

Zatrzasnął notes, schował go do kieszeni i poszedł do najbliższego baru na piwo *).

— Widzi pani — rzekł Przybram, całując Nelli w rękę, — władza policyjna żąda, żebyśmy się pobrali. Słyszała pani, co mówił pan policjant?

— Dobrze, dobrze. Wstąpimy do apteki: rany trzeba natychmiast przemyć, pan tu ma żwir, piasek... I ta moja cienka chusteczka batystowa, to za mało na opatrunek! Niechże pan czeka — to trzeba zawiązać. Boże, co ja narobiłam!

— Tak mi smutno, że pani się martwi o mnie!

*) Inspektor Cohn „Film mego życia. IV. Eine Begegnung mit dem Prometheus".

Przecież ja jestem zdrów, jak ryba. — Wolno mi trzymać panią pod rękę... i jeszcze przed chwilą zostałem hrabią węgierskim. To najszczęśliwszy dzień w mojem życiu! Więcej: to najszczęśliwszy dzień w dziejach całej rodziny Przybramów, począwszy od zarania historji — od pierwotniaka, a skończywszy na mnie. Błogosławię ten samochód, błogosławię ten słup telegraficzny...

Wracali do hotelu pieszo, zostawiwszy czerwoną torpedę pod opieką przejeżdżającego szofera, który ją przywiązał liną do swojej odrapanej landary i buksował flegmatycznie ku miastu.

W „Bristolu" powitano ich owacyjnie. Ktoś widać musiał już zawiadomić służbę hotelową o wypadku — mały pikolo skakał bowiem koło Przybrama, gdacząc bez ustanku, jak mitraljeza podczas nocnego ataku.

— Panu hrabiemu przynieść może co z apteki? Walizka pana hrabiego jest już u nas, w numerze, na pierwszem piętrze. Pan markiz Castiglioni tu był, przyniósł pasport i zameldował pana hrabiego. Pan dyrektor banku, Geza Nirenstein, też tu mieszka i panna Nelli Mensilla.

— Któż to jest panna Mansilla?

Mały chłopak przechylił głowę, jak kogut, i otworzył szerzej jedno oko.

— Jakto? pan hrabia nie wie? Przecież to ona wysypała pana hrabiego na szosie. Proszę tędy, nasza winda chodzi, jak zegarek.

Zawiózł Przybrama na pierwsze piętro. Szurgnął nogami:

— Proszę, tu jest pokój... Tu walizeczka. Zapewne rzecz pamiątkowa. Stara, ale ładna. Raz się dzwoni na służącego, dwa — na pokojówkę. Moje uszanowanie.

Przybram z rozczuleniem spojrzał na starą torbę wytartą i sfatygowaną. Była — bądź co bądź — solidnym, mocnym, oczywistym, skórzanym dowodem, że wszystko, co mu się przytrafiło, nie jest majaczeniem sennem.

— Istnieje bowiem pewien odwar z kaktusów meksykańskich — rozmyślał — „anhalonium Lewini" — i ten właśnie odwar tak działa na człowieka, jak Nelli na mnie... A może? Może ja się obudzę za chwilę na połamanej, empirowej kanapce w hotelu „Goldene Krone"?

Otworzył torbę i jął gorączkowo przerzucać jej zawartość: cztery zmięte kołnierzyki, włóczkowy szalik, stary notes — probówki!

— Aha! Teraz się dowiemy. Chwileczka cierpliwości. Numery jeden do trzeciego są... Piąty jest, szósty... Zginęła probówka z etykietą B 4. Stąd wynika, że połknąłem wczoraj sześć gramów dwusiarczku strontu w połączeniu z ociupinką siarczanu miedzi, co razem tworzy tak zwany „preparat B". Nie mogłem się tem zatruć. Siarczan strontu nie może mieć wpływu ani na moje upodobania,

ani na światopogląd. Zupełnie, jakgdybym połknął kawał kredy bilardowej.

— Stąd znów wniosek dalszy, że nie podlegam halucynacjom. Castiglioni istnieje, gruby Nirenstein istnieje, Nelli jest osobą realną, chociaż się nazywa Mansilla. Jestem zupełnie trzeźwy, nie działam pod wpływem narkotyku, a nagłe szczęście zawdzięczam innym okolicznościom. Prawdopodobnie — zakochałem się... Bywają takie wypadki — zakochałem się. Dlatego serce mi bije tak mocno i dlatego...

Tu stała się rzecz bardzo dziwna. Pokój miał okna od strony północnej, okna te były przysłonięte dość gęstemi firankami od wewnątrz i koronami drzew sosnowych od zewnątrz. Panował więc w tej komnacie teraz, w godzinie przedwieczornej, dość gęsty mrok, kontury przedmiotów rozpływały się i sinęły — trudno było odróżnić komodę od krzesła. Nagle — Przybramowi zdawało się, że oszalał! — gipsowe rozetki na suficie rozbłysły blado-niebieskiem światłem i zgasły natychmiast. Po chwili wszystkie meble — stołki, komoda, poręcz łóżka, umywalnia — całe wnętrze — jęło się rytmicznie ukazywać i znikać. Jakieś blado-niebieskie światło pulsowało w pokoju, jakiś pełgający, niesamowity płomień dygotał gdzieś, jak gasnąca świeca, albo pochodnia na wietrze. Przybram zerwał się na równe nogi — pełgający ogarek wędrował razem z nim uporczywie i rzucał owe świetliste smugi

drgające, niczem rotacyjny reflektor latarni morskiej.

— Mam bzika — myślał Przybram. — Stanowczo mam bzika!

Stanął przed lustrem i spojrzał z przerażeniem na własne odbicie... Przez rozpiętą na piersiach kamizelkę, przez rozchyloną koszulę tryskało zeń to światło, jak z filującej lampy. Najciekawszy był rytm zjawiska: raz-dwa — pauza, raz-dwa — pauza...

Uczony stał przez dłuższą chwilę, jak rażony piorunem. Ale jego myśl pracowała wytrwale, zaciekle, atakowała wszystkie punkty, przewiercała raz jeszcze wszystkie fakty i zdarzenia.

— Nie ulega żadnej wątpliwości: to moje serce świeci! Ale skąd? dlaczego? Jakiem prawem?

I tu zdarzył się ów moment jedyny, który każde wielkie okrycie poprzedza.

— Eureka! — krzyknął Przybram. — Naturalnie! Ja sam jestem „radiatorem X"!

Wyjął drżącemi rękami stary notes, otworzył go na ostatniej stronnicy i pisał przy świetle własnego, radośnie bijącego serca:

— Wczoraj połknąłem preparat B 4. W badaniach dotychczasowych zapomniałem zupełnie o związkach organicznych. Dziś dopiero przypadek naprowadził mnie na właściwą drogę! Mam! Rozumiem! Ostatnie ogniwo łańcucha znalazłem. Odkrycie rezonatorów drobinowych uważać można za fakt dokonany. Zimne płomienie — to już tylko

kwestja czasu i pracy systematycznej. Dnia dzisiejszego, o godzinie 6-ej p. p., przekonałem się naocznie, że w sprzyjających okolicznościach serce ludzkie może promieniować światłem niebieskiem. Zobaczymy teraz, czy to się da zastosować w wielkim przemyśle i wyzyskać dla celów handlowych.

Tak w owym dniu pamiętnym wtargnął sentyment do historji nauk ścisłych.

VII.

PIENIĄDZE.

Gruby Geza Nirenstein słów na wiatr nie rzucał. Zakasał rękawy i wziął się do dzieła. Już raniutko, zaraz po zabiegach kuracyjnych, wtaczał się do pokoju Przybrama, budził go i prowadził na odległe spacery, gdzie sapiąc i stękając, chodził po leśnych ścieżkach, ważył się na wagach decymalnych, jadł śliwki i roztaczał coraz to nowe plany finansowe.

Na tych spacerach porannych poznał Przybrama z szeregiem ludzi o bardzo dziwnych nazwiskach: Engelbert, Tucholski, Waldemar Kischke, Benno Barmé, Leo Bocian, radca Persicaner. Panowie ci rozprawiali żywo, mówili przeważnie skrótami, rzucali nieraz kilka liter od niechcenia—w rodzaju G. m. b. H., albo A. G., albo trzy D. — i wpadali raptem w taki szał dyskusji z tego powodu, że jeden drugiemu wyrywał guziki od marynarki. W ich rozmowie wypływał często niejaki Kamillo Castiglioni — miał to być stryj Jamesa. Panowie

ubolewali nad tem, że się wyrzekł bratanka i że grosza na „zimne płomienie" nie da. Na pewniejsze interesy nie chciał dać gotówki, cóż dopiero na taki!...

Po dłuższych naradach, które się odbywały na ławce pod strzelnicą, na trawniku pod placem tenisowym i w kawiarni, pod pawilonem orkiestry — Nirenstein postanowił wydrukować pakę barwnych papierków z nagłówkiem angielskim: *Przybram-Solid-Lght-Co.* i z tekstem węgierskim, zupełnie niezrozumiałym. Na tych papierach podpisał się sam, jako Geza Nirenstein, kasjer.

Przybram, utartym zwyczajem, pod słowem *Zarząd* umieścił Arpada von Mindsenthy.

— Był to, uważa pan, profesorze, lotnik w służbie austrjackiej, oficer — tłumaczył mu Geza. — Nie mógł przeżyć tego, że mu kazali chodzić po ziemi. Pofrunął, po raz ostatni, coś tam przekręcił w motorze i spadł w górach pod Semmeringiem. Zabił się i teraz mu wszystko jedno, czy bierze udział w naszej operacji finansowej, czy nie.

Pod słowami *Komisja Kontroli* podpisał ten druczek również Jamés Castiglioni. Nirenstein zalecał mu gorąco, aby J było o ile można podobne do K i pozwolił tylko na tę jedną literę imienia. Kiedy owe blankiety — przypominające cokolwiek kolorem i wyglądem papier „Rigolo", używany w medycynie — były gotowe, Geza kazał je przysłać do pokoju Przybrama *).

*) „Contorno storico di Solid-Light Co."

— Proszę policzyć — mówił. — Jest wszystko. Co do nogi! 10 tysięcy sztuk „pierwszej emisji". Teraz to podzielimy na dziesięć paczek, zalakujemy, zapieczętujemy i — niech czeka na odpowiednią okazję. Nie można się gorączkować! Klisze kazałem oczywiście rozbić.

Po tak uciążliwej pracy całodziennej należała mu się chwila wytchnienia. Obejmował tedy wieczorem komendę nad całą gromadką i, przypomniawszy sobie raptem, że mu lekarz przepisał dietę, prowadził towarzystwo drogą okólną do baru, gdzie wystrzegał się tłuszczów i rzeczy mącznych, jadł owoce i popijał je napojami kwaśnemi. Nad Przybramem czuwał, jak starsza dama, która w świat wprowadza młode dziewczę. Udzielał mu rad, sapał, wzdychał i ze łzą w oku patrzał na bladego docenta:

— Pakuj pan, profesorze. Jedz pan „melbę" i śledzia w garniturze — w pańskim wieku nic panu zaszkodzić nie może. *Isztenem*, żebym ja tak mógł! Mnie już nawet wątróbki nie wolno—buljon, barszczyk, herbatka! Powiedz pan sam, czy warto żyć?

Razu pewnego — siedzieli właśnie w loży „Tabarin-Chat noir — trojga imion — Maximu" muzyczka rzępoliła dyskretnie najnowsze paso-doble, kapelmistrz podszedł w lansadach, aż do ich stołu i, dla uczczenia wybitnych gości, smyczkował im tuż nad uchem — razu pewnego Przybram skorzystał z tej okazji, że Nelli i James produkowali ku zdumieniu obecnych jakieś niebywale sprężystę

i zawikłane *pas foix-trottowe* i rzekł do Nirensteina:

— Muszę się panu zwierzyć z pewnej troski, dyrektorze.

— Słucham, drogi profesorze, słucham. O co chodzi?

— Mam, krótko mówiąc, wyrzuty sumienia. Nic nie robię, jem, śpię, piję, strzygę się, golę, kąpię, palę cygara, wydaję niesamowite pieniądze. Przecież tak nie można!

— Dlaczego?

— Bo ktoś zato musi przecie płacić. Ktoś — jak mówi Szekspir — musi czuwać, kiedy ja drzemię. Tak jest — kogoś oszukuję... I co mnie najwięcej gnębi: oszukuję panów, ludzi miłych, kulturalnych, ludzi, którzy mi zaufali. Narażam na wydatki pana, panie dyrektorze, i Jamesa. Żyję z cudzych funduszów...

Geza poprawił serwetę, która znów w sposób zatrważający sunęła razem z kieliszkami i filiżankami w jego stronę.

— Omyłka, łaskawy profesorze, omyłka. Jest wręcz przeciwnie: To my od dłuższego czasu żyjemy z pańskich funduszów.

— Z moich? Przecież ja nic nie mam!

— Owszem! Miał pan pomysł kapitalny, pomysł jak złoto: *Przybram-Solid-Light-Corporation!* Trzeba to było tylko odpowiednio zrealizować i pieniądze są. Tysiąc akcyj już wkręciłem Csillagowi, pięćset Hufnaglowi... Powiem panu w tajemnicy,

że wszystko świetnie poszło. „Przybramki“ są notowane w Wiedniu, na czarnej giełdzie...

— Dobrze! A jeżeli mi się odkrycie nie uda? Uprzedzam, że w nauce nigdy, do ostatniej chwili, absolutnej pewności mieć nie można. Jeżeli to wszystko spali na panewce — co wtedy? Za czyje pieniądze ja tu spijam szampana, kawę i likiery, u kogo zaciągnąłem dług na te pończochy jedwabne i pumpsy lakierowane, kto mi pożyczył na fryzjera, krawat, palto gabardinowe? Za czyje pieniądze jadłem dziś kolację?

— Za czyje? Odpowiem panu pańskiemi słowami: w handlu nigdy absolutnej pewności mieć nie można! Do ostatniej chwili! Może to są oszczędności wdowy po cesarzu chińskim, a może przepijamy właśnie gażę clowna cyrkowego. Handel, to niesłychanie skomplikowany interes. Ktoś tam wreszcie na końcu wpada — tu pan ma zupełną rację? — ale kto? Niewiadomo.

— Panie Nirenstein, ja nie chcę narażać na zawód ani clowna cyrkowego, ani nawet wdowy po cesarzu chińskim! Chcę dać ludziom rzecz solidną, pewną... Ale pozwólcie mi pracować! dajcie mi przyrządy! dajcie mi piec Moissana!

— Piec Moissana? — żdziwił się Nirenstein.— Pomówmy otwarcie, profesorze. Pan doprawdy chce się smażyć przy kuchni i robić wynalazki na ten upał? Niech mi pan wierzy — jestem starszy, mam większe doświadczenie od pana — to jest panu zupełnie niepotrzebne! Wynalazki? Po co? Czy to

daje szczęście? Pamiętam pierwsze gramofony. Ja latałem słuchać, moja narzeczona... Dziś — niechbym ja go gdzie spotkał w ciasnej ulicy, tego wynalazcę! Albo telefon — Co o tem kiedyś pisali! Telefon! Zbliżenie, porozumienie, zbratanie ludzkości — zawracanie głowy. Ludzie gadają te same głupstwa, co i dawniej, tylko zapomocą elektryczności.

— Jeżeli pan w moją ideę, w pracę mego życia nie wierzy, panie Nirenstein — więc poco ja tu jestem? Co oznaczają te napisy na akcjach?

— Napisy na akcjach, jak wogóle wszelka literatura, mają swoją własną prawdę, niezależną od życia. Utworzyliśmy spółkę, napisaliśmy: *Tow. akc. Sypkie światło* — odtąd „sypkie światło" istnieje, bez względu na to, czy pan je odkrył, czy nie. Pan może być bardzo daleki od tego odkrycia — a akcja poleci do góry, pan może być tuż przy samem odkryciu — a akcja poleci na dół. Ten papier żyje sobie na własną rękę, niezależnie od pana, — to jest objekt handlowy. Tysiącom ludzi może dać szczęście, tysiące ludzi może zrujnować. Ale poco tu piec Moissana? W Paryżu cieszyły się swego czasu olbrzymim sukcesem akcje kaukaskich kopalń naftowych „Maikopp". Ani takie nazwisko nie istnieje, ani takiej miejscowości niema na Kaukazie, ani nafty niema w Maikopie, ani Maikopa w nafcie... A popyt był! Co to ma do rzeczy?

Geza Nirenstein mówiłby napewno jeszcze dłużej, bo lubił tego rodzaju tematy zasadnicze, ale za-

głuszyły go nagle huczne oklaski. James był tego wieczoru w natchnieniu i zaimprowizował zupełnie nową figurę w foxtrocie. Chwycił wiotką danserkę wpół (Nelli w ciemnej, lśniącej, obcisłej sukni wyglądała doprawdy jak smukły, czarny kwiat, jak wcielona przypowieść o grzechu i jak wyśniona przez malarza współczesna kompozycja muzyczna) i oprowadzał ją w triumfie po sali krokiem torreadora, krokiem zdobywcy, krokiem, który zresztą przeszedł do literatury fachowej (p. Femina, 1926, Nr. 3, str. 120 i 121). Przyczem kucał stale na prawej nodze, a natomiast zamaszyście wyrzucał lewą.

Nelli siedziała już na kanapce w loży, a brawa grzmiały wciąż jeszcze. Jakiś młody entuzjasta przysłał jej w hołdzie bukiet fiołków, który mu natychmiast odesłano z powrotem. Była stanowczo królową wieczoru i to ją usposobiło figlarnie. Zaprosiła Przybrama do tańca.

Prywatdocent udał się z tą cudną, jasnowłosą boginką na wywoskowaną posadzkę, między tłum, miotany drgawkami *shimmy*, i tu wykonał ku ogólnemu zadowoleniu kilka niezręcznych obrotów. Był wzruszony przytem, jak nigdy, obejmował ją, muskały go jej włosy, widział tuż przy twarzy jej twarz zarumienioną, widział jej obnażone ramiona. Zapomniał o rozmowie z Nirensteinem, o pracy naukowej, o niedawno odkrytym fenomenie „świecącego serca". Oddałby był wogóle całą wiedzę przeszłych i przyszłych pokoleń, całą optykę i elektronikę, za jedną jedyną umiejętność: stawiania nóg

w ten sposób, żeby nie trafiały na stopy tancerki i wykręcania korpusu w lewo tak, żeby nie uderzał o inne pary, o łokcie, żebra i plecy.

Przybram, zachęcony pochwałą, wyciął hołubca i skoczył z rozmachu równemi nogami na stopy jakiejś korpulentnej damy, która odrabiała co wieczór przepisaną ilość turów z porady lekarza. Dama kwiknęła z bólu głosem tak przeraźliwym, że pośpieszono jej z pomocą od stolików sąsiednich. To wywołało znowu pewne zamieszanie wśród par wirujących — na środku sali utworzył się spory zator, ludzie mówili coś, gestykulowali i wyrażali się naogół dość nieprzychylnie o talentach towarzyskich Huberta.

Najgorsze, że nawet martwe przedmioty szydziły z niego, światła elektryczne kręciły się przed nim w koło, a żyrandol jeździł, jakby go kto raptem na karuzelu zawiesił.

Dopiero Nelli wyprowadziła go za rękę, jak zbłąkanego chłopca, z tego oszołamiającego zbiegowiska, posadziła przy stole i kazała mu się napić wina na otrzeźwienie.

I wszystko minęłoby spokojnie, gdyby się Castiglioni nie uparł, że on zapłaci za rachunek. Wyjął z bocznej kieszeni banknot: pięć funtów angielskich — położył to na tacy i zażądał reszty. Wyfraczony kelner ukłonił się grzecznie, zabrał banknot i poszedł. Po chwili przyszło ich dwóch — kłaniali się jeszcze uniżeniej, oglądali papier pod świa-

tło, przewracali go z lewej strony na prawą i z prawej na lewą...

— Pan markiz daruje. Mimo najszczerszej chęci — nie możemy przyjąć. W gazetce miejscowej było już ostrzeżenie... Wiemy, że to jest dobry pieniądz, ale nie mamy pewności. Ktoś puszcza w obieg fałszywe pięciofuntówki. Proszę, niech pan markiz sam przeczyta. Tu jest nawet rysopis tego indywiduum.

Przybram chwycił gazetę i czytał:

„Brunet, szczupły, wzrost 1 m. 77, wąsy przystrzyżone. Elegancki — lakierowane kamasze, długie włosy, garnitur „marengo".. Akcent słowiański".

Geza zajrzał mu przez ramię, nałożył binokle... zmrużył lewe oko...

Przy wyjściu z baru, poklepał docenta łagodnie po plecach.

— No, widzi pan. Co to jest sława? Tydzień temu nikt pana nie znał, dziś są już o panu artykuły w prasie.

VIII.

UCIECZKA.

Wracali do domu: Geza toczył się pierwszy ciemną aleją, za nim szedł tanecznym krokiem Castiglioni i rozwijał nowy projekt finansowy. Chodziło o to, żeby zastawić poprostu akcje, później zaofiarować za nie grubszą sumę, odkupić i zaraz potem zażądać zwrotu depozytu. Posiadacz zastawu w obawie sprawy kryminalnej...

Niebo iskrzyło się od gwiazd. Na ciemno-szafirowej południowej stronie ktoś — jak na ironję — wypisał przed Przybramem wielkie X Oriona i oświetlił to jeszcze lampionem chińskim księżyca, który wisiał nisko, tuż nad pagórkami na Zachodzie.

— Nelli — rzekł Przybram szeptem. — Proszę panią o chwilę rozmowy. Życie moje od tego zależy.

Nelli otulona była szczelnie w jedwabny „cape", mimo to dygotała rajerami z zimna i wykonywała na żwirze alei — na rozgrzewkę — boczną figurę shimmy.

— Cóż to znów grozi pańskiemu życiu?

— Siądźmy tu na ławce, Nelli — mówił głosem stłumionym docent. — Wyrwała mnie pani z objęć śmierci, pani zawdzięczam to, że jeszcze istnieję, że patrzę na ten pomarańczowy księżyc i na te gwiazdy, które się w moich lakierach odbijają. Pani zawdzięczam to, że poznałem życie z lepszej — prawdopodobnie właściwej — prawej strony. Przedtem los obracał do mnie świat podszewką, pełną supłów, węzłów, ściegów, brudnej waty, bo ja tam wiem czego... Od dwóch tygodni dopiero — dzięki pani — wiem co to jest aksamit, deseń, barwa, wdzięk. Jestem jak ów mól, który przedziurawił stare palto i wydostał się wreszcie na atłasowy kołnierz...

— Ale, droga pani, istnieje niezłomne prawo zachowania energji: nikt nie może być szczęśliwy— bezkarnie. Przekonałem się przed chwilą, że karząca dłoń losu czyha na mnie i że dziś jutro palec przeznaczenia rozgniecie biednego mola. W gazetach umieszczono mój rysopis, akcje, które mam w pokoju, są też napewno jakąś okolicznością obciążającą. Geza ma oczywiście rację: nikt nie zdobywa pieniędzy drogą uczciwą. Ale nieuczciwość wymaga rutyny, której nie posiadam. Przez lat kilkanaście pracowałem naukowo, ślęczałem po nocach, żeby piąty znak dziesiętny ustalić, żeby stwierdzić, czy jakiś tam niedostrzegalny ułamek milimetra zanotowano słusznie w podręcznikach... Nie mogę! nie mogę się przedzierzgnąć raptem w niefrasobliwego lekkoducha, który nie dba o to, czy pięć fun-

tów wypuścił w świat Bank Angielski, czy Rumun przy kartach.

Pani jest, że tak powiem, autorką mego życia. Jeżeli pani każe, pójdę oczywiście do więzienia, albo trafię — tym razem już nieomylnie — na próbówkę numer trzynasty. Zdaje mi się tylko, że jest inne wyjście! Jeżeli pani wierzy choć trochę we mnie — uciekajmy! Będę pracował jak kulis, jak robotnik portowy, będę drwa rąbał i buty czyścił...

— A mnie jaką pan rolę przeznacza? Co ja mam robić?

— Zaraz proszę pani, zaraz! W życiorysach poetów figuruje zawsze jakaś Muza, bogdanka, Egerja — ta osoba czasami ma też na imię Laura. Pani będzie pierwszą w dziejach Muzą nauk ścisłych. Przejdzie pani do historji jako Nelli — Nelli Przybrama!

Rozpiął drżącemi palcami palto, rozdarł koszulę na piersiach.

— Niech pani patrzy. Widzi pani to błękitne, fosforyzujące światło? Połknąłem siarczek strontu i wskutek procesów chemicznych, których pani tłumaczyć nie będę, moje serce świeci przy każdem mocniejszem tętnie. *Radiator X!!* Nazwałem go na cześć pani Nellitem.

— Dziękuję.

— Nie mieści mi się w głowie, żeby — nawet dzisiaj, nawet w okresie nędzy umysłowej i pogardy dla nauki — takiej rzeczy nie można było

spieniężyć uczciwie. Ktoś się nami zajmie, ktoś to nabędzie ode mnie. A wtedy...

— Co wtedy?

— Niczego od ludzi nie żądam. Nie chcę rozgłosu, nie chcę sławy. Spełniłem zadanie. Niech mi pozwolą żyć spokojnie na Sycylji albo na Islandji. Będziemy zbierali muszle, proszę pani, będziemy łowili ryby i jeździli żaglówką po morzu. Dlaczego fatum mnie zmusza do tysiącznych obrzydliwości? Jak się pani mój projekt podoba?

Nelli skoczyła na ławkę, jęła się po niej przechadzać w zamyśleniu, przytupując przytem obcasami w nadziei, że to uchroni od zimna nogi, osrebrzone zaledwie lekkim nalotem lśniącego jedwabiu.

— Pan jest dzieciak — rzekła, usiadłszy na poręczy, — mały, naiwny dzieciak. Pojęcia pan nie ma o sprawach finansowych. Co pan tu nagadał: Islandja, żaglówka, ryby, muszle! I cóż stąd, że panu serce świeci! Pan myśli, że to tak odrazu kupią? czekają na to? Komu i na co jest potrzebne pańskie tętniące serce? Zaaresztują pana na pierwszej granicy, bo pan nie ma pasportu.

— Przepraszam! Mam! Nie swój, ale mam. Pasport niejakiego Arpada Mindsenthyego, oficera węgierskiego, który — biedactwo — spadł i zabił się pod Semmeringiem. Podpisałem jego nazwisko na akcjach — nie weźmie mi, poczciwina, za złe, że go dla odmiany zrobię wynalazcą. Trudno, proszę pani. Mordowałem się przez tyle lat — niech się i moi biografowie pomęczą trochę nad zagadką,

w jaki sposób zmarły lotnik w półtora roku po śmierci dokonał wiekopomnego odkrycia...

— Albo i to odkrycie! — mówiła poważnie Nelli z wyżyn drewnianej poręczy. — Świecące serce! Wezmą pana do Variété na numer w programie nocnym, dadzą panu u Ronachera kilka dolarów za występ, ale co z tego? Czy to starczy na utrzymanie dwojga dorosłych osób? Nie, mój łaskawco, życie jest trudniejsze niż się panu zdaje.

— Więc niema żadnej nadziei? Mam wrócić do probówki trzynastej, jak wtedy? Nie robię pani wyrzutów, ale wielką krzywdę mi pani wyrządziła. Dwa tygodnie temu istniał sobie nędzarz, dla którego śmierć była wyzwoleniem. Dziś — dziś ma umrzeć światowiec, człowiek w garniturze marengo, brunet, szczupły, przystojny, wzrost: metr siedemdziesiąt siedem, wąsy przystrzyżone, lakierowane kamasze... Człowiek ten zna osobiście panią, najcudniejszą kobietę na świecie, widuje panią codziennie, żal mu każdego mrugnięcia powiek, bo traci panią na ułamek sekundy, a pani każe mu zamknąć oczy na zawsze?

— Zaraz! Trzeba wszystko przemyśleć porządnie. Niech pan siada spokojnie tu, na ławce i niech pan uważa.

Przybram uważał... Nigdy w swej długiej karjerze naukowej nie słuchał wykładu z takiem skupieniem, jak w ów wieczór chłodny, cichy, w tej auli, której sklepienie skrzyło się od gwiazd.

Dowiedział się przedewszystkiem, że istnieje

pewien szofer, Kurt Pospiszil, który tu przewiózł przez granicę „czerwodą torpedę". Szofer ten ma książeczkę. Jeżeli więc teraz pojadą oni we dwoje — Hubert i Nelli — samochodem, w kierunku na Wiedeń, Przybram przedostanie się doskonale, jako ów Pospiszil, przez komorę celną w miasteczku Znaim i jeszcze będzie mógł odebrać zastaw za auto w kwocie stu dolarów. W Wiedniu jakoś sobie poradzą. Nelli ma od września filmować „Dziewczę z Prateru", ale już i teraz Jacques Piper, reżyser, da im jakąś rólkę w obrazie „Tajemnica starej panny". Przybram mógłby grać świetnie Szweda, uczonego dziwaka, profesora Olafsona, który odkrył nowy pierwiastek, leczy nim wszelkie choroby i zamienia bezduszne przyrządy na istoty samodzielne i czujące.

— Przepraszam! — rzekł Przybram. — Chwileczka! Jeżeli ów Olafson odkrył — w co nie wierzę—nowy pierwiastek, to jest chemikiem. Nie może przeto leczyć ludzi, bo to znów należy do medycyny, która wogóle nie jest nauką, tylko znachorstwem. Ja mogę być Pospiszilem, Arpadem, Olafsonem — spaliłem własny pasport i muszę się ze względów policyjnych uciekać do różnych fałszerstw. Ale nawet dla pani, Nelli, nie mogę wbrew własnemu sumieniu fotografować się, jako kuglarz. Co ma wspólnego pierwiastek z maszyną? Gdzie tu sens?

— Czy jest sens, czy niema — odrzekła Nelli— o tem rozstrzyga kierownik literacki. Taki jest scę-

narjusz i zmienić go nie można. Za dęte wynalazki w kinie płacą po dziesięć dolarów dziennie, a za jakieś tam zimne płomienie nikt tymczasem grosza nie da.

Przybram przyznał, że rozumowanie jest logiczne i słuchał uważnie dalej. Oparł na ręku biedną głowę, w której Pospiszil, jego książeczka, komora celna, dziewczę z Prateru, maszyny, reżyser, rekwizytor, gaża, Mars, świecący na niebie, gruby Geza, wykwintny Castiglioni, lotnik węgierski i złotowłosa Nelli tańczyli jakiś taniec zawrotny.

— Jakie to życie jest skomplikowane — myślał — i jaki to cud, że człowiek dzisiejszy bywa chwilami normalny. Jeżeli Kolumb odkrył Amerykę, a Vasco de Gama drogę do Indyj, to tylko dlatego, że im się udało przyjść na świat w innej epoce. Niechby dziś spróbowali załatwić w konsulacie formalności tranzytowe. Mój starszy kolega, Newton, był człowiekiem genjalnym — przyznaję. Ale to nie sztuka odkryć prawa ciążenia, kiedy się ma wikt i dach nad głową. Ciekaw jestem, jakby wyglądała jego teorja, gdyby się był urodził we Lwowie, zaplątał w jakąś niezrozumiałą aferę finansową i miał grać Olafsona w kinematografie a Pospiszila na granicy...

Spakowali rzeczy i wyruszyli o świcie drogą na Pilzno i Tabor.

Przed wyjazdem Przybram prócz sutego napiwka wręczył portjerowi hotelowemu pakiet akcyj

Towarzystwa „Solid-Light"; takiż pakiet otrzymał szofer, w nagrodę za ceratową kurtkę i czapkę z daszkiem. Z bagaży — dla ułatwienia formalności celnych — zabrali tylko najpotrzebniejsze: większy kufer Nelli, mały kufer Nelli, neseser Nelli i jej pudło z kapeluszami. Prócz tego starą skórzaną torbę Przybrama i jego probówki.

Na granicy poszło jakoś nadspodziewanie gładko. Przybram świetnie odegrał Pospiszila, mówił z czeska po niemiecku, i z niemiecka po czesku, a Nelli tytułował z wiedeńska „gnädige Frau". Wobec urzędników był trochę przygłuchy i trochę przygłupi, odpowiadał na najprostsze pytania. „Tak, proszę pana, żeby prawdę rzec, to bardzo długa historja. Certyfikat, o którym pan łaskawy wspomina, miałem. Ale, jak to powiadają, chłop strzela..."

Nudził celników i żandarmów tak bardzo, że machnęli wreszcie ręką, poprzylepiali zielone kartki do małego kufra i do dużego kufra, przybili stemple do dokumentu Nelli (Ilonka Fekety, artystka, pseudonim Nelli Mansilia) i do książeczki Pospiszila. Najtrudniejsza była sprawa ze skórzaną torbą.

— Co pan tu ma w tych szkiełkach?

— To, żeby tak prawdę rzec a nie skłamać, bardzo długa historja.

— Jazda, jazda! Co? Sacharyna, narkotyki?... Prędzej! Pan to musi tu zostawić i odesłać do analizy.

Wstyd powiedzieć doprawdy, że największe odkrycie stulecia wisiało, że się tak wyrazimy, na włosku. Gdyby siarczki Przybrama dostały się wówczas w niezdarne ręce tępych chemików pogranicznych, kto wie, czyby wieczysty pochód ludzkości nie opóźnił się o całe wieki. Ale Przybram udawał głuptasa tak świetnie, z takim niezamąconym spokojem posolił flegmatycznie butersznyt barytem (z próbówki Nr. 1), że ocalił przez to sytuację.

— Pan nie widzi, że to idjota? — rzekł jeden żandarm do drugiego. — Wozi sól i pieprz we flakonach chemicznych! Kawalarz! Jeszcze to sobie zalakował i zapieczętował. Cymbał *).

Tak oceniono odkrywcę i jego preparaty w miejscowości Retz na pograniczu. Możemy tylko jednej rady udzielić ludziom wybitnym: w dzisiejszych warunkach politycznych powinni — dla własnego dobra i dla dobra potomnych — jak najczęściej udawać kretynów.

Nie jest to może sposób dość romantyczny dla bohatera powieściowego, ale zupełnie wystarczający dla bohatera dziejowego.

---

*) por. Pospiszil „Moje wspomnienia".

IX.

FILM.

Reżyser, Jacques Piper, był jednym z najwytworniejszych ludzi w stolicy naddunajskiej. Jeżeli ośmielimy się mu postawić jaki zarzut, to chyba tylko ten, że był to człowiek stanowczo za wytworny. Nie można przelicytowywać odrazu wszystkich ideałów Oskara Wilde'a, nie można nosić jednocześnie najmodniejszych kołnierzyków amerykańskich, garniturów angielskich, krawatów paryskich, palt wiedeńskich i kapelusików „Borsalino". Zwłaszcza, jeżeli ktoś ma przytem w kieszeni papierośnicę kaukaską, fajeczkę holenderską i tłoczony, skórzany porfel florencki, że zamilczymy już o metryce małopolskiej.

Jacques Piper ondulował włosy, lakierował paznokcie szellakiem i nie wymawiał litery *r*.

Przybram poznał osobiście wielkiego Pipera w małej kawiarence w dzielnicy filmowej. Hubert

czekał tu na Nelli, przysłuchiwał się rozmowom kilku starszych charakterystycznych i pewnego brodatego pana, znanego w świecie jako „przewodniczący", kiedy raptem „ciotka hrabina" i „matka, umierająca w nędzy" zerwały się na równe nogi.

— Piper! Piper! — szeptano naokoło.

Piper salutował zlekka, przykładając od niechcenia dwa palce do ronda kapelusza, przesuwał fajkę z lewej strony ku prawej, mówił: *Morgen, Giorno, Morning,* opuszczał *r* w tych wszystkich wyrazach i kierował się najwidoczniej do stolika pod kolumną, w stronę Przybrama.

— To jest zatem ów Pospiszil, Nelli? *How are you?* Pan mówi po angielsku?

— Owszem.

— Aha. To się panu zresztą na nic nie przyda. Wolałbym, żeby pan raczej dobrze wyglądał w kitlu. Hm. Możemy spróbować. Grał pan kiedy?

— Nie — wtrąciła szybko Nelli. — Ale pracował w laboratorjum naukowem. Dopiero w ostatnich czasach wziął się do szoferki. To właściwie jest chemik z zawodu.

— Aha. No tak. Mógłby pan popróbować Olafsona. Rola jest nieduża, ale wdzięczna. W pierwszej części robi pan odkrycie chemiczne, uważa pan? Nalewa pan coś z epruwetki, puszcza pan prąd, płomień bucha, dym, trzask — załatwione. Resztę wyjaśnia napis. W drugiej części uzdrawia pan kalekę, w trzeciej ginie pan bez wieści. Pana

niema, zastaje tylko testament. Umie się pan obchodzić z przyrządami chemicznemi?

— Spędziłem wśród nich piętnaście lat życia...

— Dobrze. Niech pan przyjdzie jutro rano do hali. Ma pan tu adres „Piper-Film". Ale, ale... Pospiszil? Pan musi zmienić nazwisko.

— Jakto? Jeszcze raz?—zdziwił się Przybram.

— Naturalnie. Pospiszil? Nonsens. Radziłbym panu coś w rodzaju Harry de Putti. Do widzenia. Pannę Nelli zabieram do wytwórni.

I zabrał ją rzeczywiście. Po drodze robił jej poważne wymówki:

— Pani ma też pomysły, panno Nelli! Z pani prezencją — za szofera pani chce wyjść? Za Pospiszila? Jak pani zresztą serce dyktuje... Sceny z Olafsonem trzeba będzie skrócić. Nie będę mówił źle o pani przyszłym, ale to nie jest osobistość, która mogłaby zająć widza *na przestrzeni sześciuset metrów!*

„Osobistość" w wytwórni wzbudziła jeszcze mniejszy zachwyt. Ustawiono w kącie wielkiej ujeżdżalni kilka stołów, umieszczono na nich kilka miseczek porcelanowych, moździerzy z tłuczkiem, biuretek, odziano Huberta w szpitalny kitel i kazano mu robić odkrycie.

— Jak pan to szkło trzyma! — irytował się Piper. — Do stu piorunów, przecież pan powinien mieć trochę fantazji! Niech pan sobie wyobrazi, że pan ma za chwilę — no — uszczęśliwić ludzkość. Odkrycie pan robi, rozumie pan, od-kry-cie!? Wy-

nalazek! Oko powinno grać. Cała postać powinna grać! Jeżeli już pan nie może inaczej, to niech pan myśli przynajmniej o tem, że pan wygrywa żywego indyka na loterji fantowej! Na nic! Jeszcze raz!

Mustrowali go, pędzili z kąta w kąt, — ręka do góry, noga naprzód!

— Może to jest doskonały szofer — mówił szeptem Piper do Nelli, — ale to mało inteligentny człowiek. Ta flegma, ta zabójcza flegma. On wygląda przecież, jak skondensowana nuda w puszkach dla niemowląt...

Nelli nie widywał Przybram prawie wcale. To była wielka *diva*, zajęta naradami z dekoratorem, reżyserem, kostjumerem, autorem, a on był skromnym statystą. Paradował w kitlu od rana po swojej sztucznej pracowni, twarz miał uszminkowaną, wargi umalowane — apetyt stracił przez to paskudztwo, humor.

Najbardziej go gnębiła myśl, że za dziesiątą część tych pieniędzy, które tu marnowano na prąd, na lampy łukowe, na dziwolągi, przedrzeźniające pracownię naukową, możnaby zbudować niezłe laboratorjum doświadczalne, piec elektryczny i zdobyć przynajmnej garść *nellitu*...

Zamykał oczy i próbował sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała grudka skoncentrowanego zimnego światła. Coś galaretowatego, przezroczystego i skrzącego się jak diament, olśniewającego chwilami jak rozżarzona platyna... Z coraz większą siłą rwało się jego biedne, świecące serce do tej chwili,

kiedy będzie mógł maszyny w ruch puścić, prądem dwustu amperów swe mikstury rozpalić, rozżarzyć i stopić.

Zawarł wreszcie z najmłodszym mechanikiem w wytwórni, Fiszlem, umowę potajemną i niedozwoloną. Zmajstrowali z kilku starych kafli, z ułamków kaolinowych rur wodociągowych i z kilku miseczek, wypożyczonych od golibrody, „piec elektryczny", sprowadzili z firmy „Kahbaum et Co" kilka sustancyj o długich dziwacznych nazwach: „izobutylchlorür", „dimetylpyrasolon" i w pauzach między zdjęciami pracowali.

Był to może jedyny w dziejach nauk ścisłych widok: ów docent z uszminkowaną twarzą i ów kędzierzawy mechanik w zielonej bluzie, krzątający się między dekoracjami teatralnemi, cicho bez słowa, — przy tablicy rozdziałowej i przy stosie starych skorup porcelanowych. Przerzucali się umówionemi sygnałami, zakradali się w nocy, jak złoczyńcy, do hali kinematografu.

Rzecz zdumiewająca! mimo braku tygli platynowych, naczyń kwarcowych, mimo braku najprymitywniejszych urządzeń mechanicznych — praca dawała wyniki! Po każdem dłuższem „doświadczeniu" Przybram odnajdywał w kupie szarego miału, w stosie czarnego żużla kilka ziarenek świecących.

Zbierał je skrzętnie do probówki, którą ukrył starannie we wskazującym palcu starej rękawiczki włóczkowej. Czekał aż uciuła z tych świetlików

maleńkich ilość tak wielką, aby móc zacząć eksperyment decydujący.

Dla użytku prywatnego kupił sobie tymczasem dziennik, polinjował go, pokratkował i stawiał w nim samemu sobie stopnie, jak w szkole. Każdy rezultat pomyślny oznaczał piątką, każde niepowodzenie i fiasko — pałką. Dziennik miał rubryki następujące:

1. Nelli 1. 1. 1. 1. 1...
2. Fosfory 3. 2 + 3 4 2...
3. Talent kinematograficzny 1 2 0 1 1...
4. Uznanie ludzkie 0 0 1 0 0..
5. Widoki na przyszłość 2 1 + 2 2 2...

W rubryce *Nelli* figurowały same jedynki. Docent lokował całą gażę w „izobutylach", zaniedbał się znowu, zapomniał o zdobytych z takim trudem formach towarzyskich. Chodził znów w wykrzywionych, podartych butach, w wygniecionym garniturze marengo i w wystrzępionym krawacie. *Diva* nie zwracała już prawie uwagi na podrzędnego statystę, który, jak to widzimy zresztą z rubryki 3 i 4, był pośmiewiskiem reżyserów i operatorów. Rólkę Olafsona skreślano coraz bardziej.

Rozrastała się natomiast rola Nelli.

— Nareszcie znalazła pani właściwe *emploi*— chwalił ją Jacques Piper. — Zobaczy pani, co my z tego zrobimy! Pickford nic, Zuckor nic, Belasco, Buchowetzky! To pójdzie na Amerykę, na Australję, na Warszawę, na Zgierz. To wogóle będzie *clou* nad *clousami!*

Po dwóch tygodniach „Stara panna" dojrzała już o tyle, że można było przystąpić do tej jej części, która miała się rozgrywać w średniowieczu. Na „średniowiecze" wybrano starą mieścinę nad zatoką Triesteńską — Pirano w pobliżu Portorose.

„Gwiazdy" — Nelli, amant Weichteil, reżyser Piper — pojechały w nocy sleepingiem na Graz, Lublanę, osoby podrzędniejsze — między innemi i Przybram — tłukły się pociągiem dziennym na Zagrzeb, gdzie trzeba było załatwić jakieś formalności.

Te same różnice zachowywano i w dalszej drodze. W Trieście statystów wyładowano w hoteliku „Continental", „gwiazdy" zajęły apartamenty w wykwintnym „Savoju", gdzie miały widok na błękit morski, na przystań, bulwar, na statki, na dalekie Miramar.

Docent pierwszy raz w życiu widział miasto południowe. Wyszedł wieczorem na plac, zalany światłem lamp elektrycznych, zmieszał się z tłumem barwnym, słyszał tę mowę śpiewną, muzyczną i wydawało mu się, że go ktoś wepchnął na scenę podczas przedstawienia „Aidy".

— Poczekajcie, dobrzy ludzie — myślał. — Ja wam to życie jeszcze ładniej urządzę. Mam tu w kieszeni rurkę szklaną. Niby nic — a zobaczycie. Pod wpływem waszego gorącego słońca, trysną z niej takie promienie, że wasz wyraz „a giorno" stanie się zwykłym banalnym faktem, a nie metaforą poetycką.

Postanowił sobie solennie, że pierwszy potok

zimnego światła skieruje na Corso Vittorio Emanuele. Błąkał się długo po ulicach i placach. Zawędrował na wybrzeże, doszedł aż do Riva del Mandracchio...

Na tarasie wykwintnego hotelu, tuż przy marmurowej balustradzie, siedziała roześmiana Nelli, wydawała rozkazy wyfraczonym kelnerom i słomką od mazagranu łaskotała podbródek amanta Weichteila.

X.

SZARY DOM.

Na starożytną, cichą mieścinę rybacką, na jej uliczki ciasne i wąskie spadła, jak szarańcza, banda aktorów. Biegali po zaułkach, po placach i schodach kamiennych, po sławetnym, wysokim tarasie, po średniowiecznych murach obronnych.

Na placu Tartiniego rozłożyli obóz, przebierali się za królów i gamratki, za mnichów i paziów i nie było w starej, poczciwej mieścinie Pirano domu, schodów, podziemia, gdzieby swoich sztuk nie próbowali, gdzieby się w najdzikszych pozach nie fotografowali.

Przybram, przyodziany w rudy habit astrologa, biegał razem z innymi, wdrapywał się na wieżę Punta Madonna della Salute i znów staczał się na łeb, na szyję na dół, aż do samej zatoki, gdzie mu kazano wpław dopędzać łódkę rybacką.

Nie zapominali jednak przytem, obaj z Fiszlem, o doświadczeniach. Co dzień, raniutko, kładli na słonecznym placu, pod pomnikiem, ową rurkę

z ziarenkami nellitu i poddawali ją możliwie najsilniejszej insolacji. Skrzypek Giuseppe Tartini, który tam stoi, z kamienia wykuty, na cokole, nie przypuszczał biedaczysko, że mu po śmierci każą eksperymenty chemiczne wykonywać. Ale nie protestował — stał spokojnie i trzymał w garści epruwetkę.

— Nellity, — tłumaczył Fiszlowi docent, — trzeba było do światła słonecznego dostroić, rozegrać, jak przyrząd muzyczny.

Rurka istotnie pod włoskiem niebem nabrała jakiejś werwy i dziwnych kolorów. Wieczorami świeciła już nieomal, jak dobra kieszonkowa lampka elektryczna.

Dlatego też zapewne w rubryce „Fosfory" dzienniczka, o którym była już mowa, spotykamy w owym okresie coraz lepsze stopnie. Trafiają się czwórki, nawet czwórki z plusem. Natomiast wielką rzymską pałę znajdujemy raptem, niestety, w dziale „widoki na przyszłość..."

Katastrofa miała przebieg następujący. Któregoś popołudnia Przybram, ucharakteryzowany, jak zwykle, na astrologa, siedział w osterji „Alle tre porte", popijając czerwone wino z wodą. Jakaś gazeta wiedeńska leżała akurat na stole i docent, rzuciwszy na nią okiem, spostrzegł nagle swoje nazwisko w tytule sensacyjnego artykułu. Litery były co najmniej calowe, a cały nagłówek krzyczał po prostu wniebogłosy:

BLUFF GIEŁDOWY SIĘ WYJAŚNIA!... NIEBIESKIE PTAKI Z „PRZYBRAM-LIGHT" POD KLUCZEM! CASTIGLIONI I GEZA NIRENSTEIN W SZARYM DOMU!

Dowiadujemy się...

Właściwie trudno było się czegokolwiek dowiedzieć, połowę pierwszej karty bowiem ktoś sobie dla celów utylitarnych oddarł. Z urywków pozostałych zdań można było wywnioskować tylko tyle, że teraz już po nitce trafimy do kłębka, bo tę nitkę ujął w doświadczone ręce niejaki Hofrat Dr. Jakob, znany ze sprawy „Depositen Bank". Rozesłano listy gończe za fałszywym Pospiszilem, za Arpadem Mindsenthy, tudzież za pewnym Rumunem, którego nazwisko nie jest jeszcze ustalone.

Najbardziej dziwiła Przybrama jedna okoliczność. Hofrat Jakob, Castiglioni i Geza spotykali się — tak przynajmniej twierdził autor artykułu— w jakimś tajemniczym „szarym domu". Przy tych słowach nie było wcale odsyłacza, zupełnie, jakgdyby każdy czytelnik obowiązany był wiedzieć, co to za dom i dlaczego jest szary...

Niestety, właściwy sens tych wyrazów wkrótce już przestał być dla naszego bohatera tajemnicą. O godzinie czwartej, kiedy właśnie odgrywał przed okiem aparatu którąś tam scenę i prowadził, zgodnie ze scenarjuszem, za uzdę małego osiołka, gryząc jednocześnie surową rzepę, podeszło doń raptem dwóch rosłych panów w czarnych, kusych fracz-

kach, napoleońskich kapeluszach i ze szpadami u boku.

— Pospiszil? — rzekli, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Pospiszil — odpowiedział Przybram, lekko zarumieniony.

Karabinjerzy nie pytali o nic więcej. Wzięli go jak stał — w habicie, z uszminkowaną twarzą — i poprowadzili ku policyjnej łodzi motorowej. Mimo tragizm sytuacji cała trójka wyglądała, jak tercet z podrzędnej opery włoskiej.

— *Sapristi! Carpo di Bacco! Kreuzdonnerwetter! Psiakrr...!* — klął wykwintny Jacques Piper.— Naturalnie! Przez tego kretyna siedem scen zepsułem. Niedość, że hebes gra, jak szewc, — jeszcze mi go w najciekawszym momencie do kryminału biorą! Panno Nelli, pani ma przecież olej w głowie — jak pani nam mogła taką od Boga i ludzi przeklętą ufermę, takiego łazika na kark sprowadzić! *).

Łazik odbywał tymczasem tę samą podróż, która go w taki entuzjazm wprawiła, w kierunku odwrotnym: Pirano — Capodistria — Triest — Pontebba — Rakek... Tylko, że jechał tym razem w przedziale okratowanym i że ludzka ciekawość doskwierała mu bardzo.

Jedyną osłodą uciążliwej podróży były obserwacje nad świecącą rurką, którą dziwnym trafem

---

*) p. Wlazlo „Piper a X-a Muza".

zdążył był zabrać z sobą, i notatki w dzienniku. Przybyły w tym zeszycie dwa nowe działy: 6. Samopoczucie i 7. Wartość życia. Ale i z tych przedmiotów uczeń miał stopnie beznadziejnie kiepskie.

Zresztą — wrażliwość i inteligencja jego poczęły ostatecznie przygasać.

Kiedy blady i wycieńczony trzydniowem niemal biwakowaniem na różnych stacjach kolejowych, stanął wreszcie w „szarym domu" przed obliczem groźnego Hofrata Jakoba — sprawiał doprawdy wrażenie najnędzniejszego rzezimieszka z albumu przestępców. Habit mnisi, rudo-czekoladowy w kolorze, twarz nieogolona, włosy zwichrzone, oczy, nabiegłe krwią. Dla uproszczenia sprawy przyznał się odrazu do wszystkiego. Tak, owszem, nazywa się Hubert Józef Przybram. Urodził się właściwie w Samborze. Ma lat 37, niestety — kawaler. Pracował naukowo w Wiedniu, był asystentem profesora Hevesyego i profesora Suessa. Jakim sposobem upadł tak nisko — nie wie. Dlaczego podpisał Arpada von Mindsenthyego? Słyszał, że ten człowiek nie żyje, bo zginął śmiercią samobójczą. A że on, Przybram, też się już raz chciał pozbawić życia — więc... Przypuszczał, że między samobójcami w każdym fachu istnieje pewne poczucie koleżeństwa.

— Dlaczego pan za dokumentem szofera, Pospiszila, przejechał granicę?

— Chciałem wrócić na uczciwą drogę.

— I dlatego pan sobie przywłaszcza cudzy pasport?

— Skoro nie miałem własnego... Prawo jest ogromnie skomplikowane. Pan mi ma za złe te akcje, a kiedy postanowiłem od nich uciec — robi mi pan znów wyrzuty, że przejechałem granicę. Przecież nie mogłem, jak para wodna, ulecieć w powietrze i skondensować się następnie w innym punkcie globu.

— Dobrze. Czy pan wie, o co pan jest oskarżony?

— Nie wiem.

Hofrat Jakob zmrużył pogardliwie oczy, sięgnął po gruby zielony skoroszyt i jął czytać, mlaskając językiem, długi elaborat pisany stylem urzędowym.

Wypracowanie roiło się od wyrazów technicznych: ażjotaż, manko, wpłaty, ceduła, kurscetel, pokrycie, siedziba zarządu, fikcja, komisja rewizyjna, notowania, popyt, krach, arbitraż, strohmann, run, schiebung, likwidacja, objekt handlowy.

Osobnik w habicie zrozumiał tylko tyle, ża pakiet akcyj, który dał na piwo portjerowi w „Bristolu", znalazł się nagle w rękach wdowy Petzold, właściciela baru, Jostiego, pokątnego doradcy, niejakiego Szwamdrybera i żyjącej z własnych funduszów, Aurelji Pociemko — de Nora.

Te osoby były pokrzywdzone na honorze tudzież majątku i zgłosiły jednocześnie akcję cywilną i karną. Oskarżony może odpowiadać z wolno-

ści, jeżeli złoży pięć tysięcy dolarów kaucji, w przeciwnym razie będzie uwięziony natychmiast.

Przybram poprosił o trzy minuty czasu do namysłu. Hofrat Jakob skinął głową i wstał od stołu.

Oskarżony skorzystał z tej okazji i zdobył się na czyn heroiczny. Postanowił za wszelką cenę ocalić swą świecącą probówkę. Wyjął ją ukradkiem z kieszeni i ruchem nieznacznym cisnął między cygara, umieszczone w dużem pudle na biurku sędziego śledczego. Wiedziony nieomylnym instynktem przeczuł, że do więzenia nie pozwolonoby mu jej przemycić...

Zmęczone oczy biedaka nie dostrzegły jednak, że korek odpadł już dawno i że jego cenne nellity jak garść białego cukru wysypały się z epruwetki, pokrywając natychmiast lekkim srebrnawym nalotem ciemne Henry-Clay'e *(para la nobleza)* pana Hofrata. Do dziś dnia nie wiemy, jak sobie wytłumaczyć właściwie dziwne powinowactwo chemiczne niektórych „fosforów sztucznych" z wyrobami tytoniowemi.

XI.

POSIEDZENIE.

Dzień, w którym wypadły rozprawy sądowe nad aferą „Solid-Light Co." był ponury, wietrzny, mglisty. W dużej sali, mimo reklamy prasowej — zebrała się zaledwie garść widzów, kilkunastu reporterów, kilka osób ze świata giełdowego.

Wśród świadków zwracała uwagę gruba wdowa Petzold i urocza Pociemko-de Nora, z osób znanych zjawił się jedynie Kamillo Castiglioni, adwokat, Dr. Juljusz Szeps, literat Egon Friedell, grono członków „Automobil-Clubu". Przewodniczył znany zaszczytnie Dr. Mataja. Na ławie oskarżonych zasiedli James, Geza, Przybram i ów Rumun, sobowtór Franciszka Józefa, który już na marjenbadzkiej ulicy Głównej wyróżniał się imponującą postawą, gestem i manierami urodzonego męża stanu.

Z zapytań prokuratora widać było odrazu, że uważa sprawę za przesądzoną, za podstępne oszustwo, ukartowane w celu wyłudzenia pieniędzy od

pań Petzold i de Nora, tudzież panów Jostiego i Szwamdrybera.

Adwokat Jamesa był zdania, że jego lekkomyślnego klienta wciągnęli w to błoto Geza, Rumun i Przybram, adwokat Nirensteina kierował natomiast podejrzenia w stronę Rumuna i Przybrama. Hubert — ku własnemu przerażeniu — stwierdził, że nie ma najmniejszej sympatji ani wśród sędziów, ani wśród współoskarżonych. Mieli mu za złe, że przez swój dziecinny wybryk skompromitował przedsiębiorstwo: nie powinien był oddawać akcyj byle komu i to jeszcze za darmo.

Po dwugodzinnych popisach krasomówczych nie ulegało już żadnej wątpliwości, że to blady docent będzie musiał całą imprezę odsiedzieć. Wyciągnięto na jaw jego sprawki pasportowe, wykazano mu niezbicie, że on — jako nędzarz zupełny — najwięcej zyskiwał na podejrzanej operacji finansowej: pan prokurator zresztą mistrzowskiemi rysami nakreślił jego portret psychiczny.

— Człowiek ten — mówił patetycznie — wyłudzał już nieraz pieniądze od towarzystw naukowych. „Montana" wyasygnowała 300 dolarów na jego wynalazki i krętactwa. Gdzież są te pieniądze? Zrzeszenie foot-ballowe „Vienna", wzruszone odezwą prof. Suessa, nadesłało na jego ręce 75 dolarów, zebrane podczas meczu ze stowarzyszeniem „Hakoah". Co się stało z tą sumą? Nie łudźmy się, panowie! Mamy tu do czynienia z szalbierzem jakich wielu, niestety, zna historja. Któż z nas nie

pamięta choćby Cagliostra? Połapawszy, gdzie się da (oskarżony przyszedł na świat *w Samborze!*) kilka wyrazów technicznych, kilka terminów fachowych, otrzymawszy cudem dyplom uniwersytecki— niecni kuglarze jeden tylko cel mają na oku: tumanić łatwowiernych, czerpać z cudzych kieszeni. Umieją mówić barwnie, zajmująco, umieją ukazywać dalekie miraże, rzucać śmiałe plany. A kiedy otumaniona ofiara — spójrzmy, panowie, na wdowę Petzold, spójrzmy na zwichniętą karjerę znanej naszej artystki, Pociemko-de Nora, — kiedy ofiara, powtarzam, złoży im wreszcie swą krwawicę, cóż wtedy? Pan doktor Przybram nie jest już doktorem Przybramem. O nie! Pan doktor Przybram buja w słonecznej Italji, — jako Pospiszil! Piękne słońce południowe opala jego ciało na kolor bronzowy, delfiny tryskają nań wodą, czarnobrewe Włoszki z nad boskiej Adrji uśmiechają się *doń*, zerkają *nań*, wpatrują się *weń*, dobijają się oń. Kto wie, jakie pasmo niecnych zamiarów przecięliśmy, sprowadzając tu ciupasem tego wilka w owczej skórze. Panowie! on nawet tu, na posiedzeniu sądowem, się maskuje! Spojrzyjcie! On ma habit na sobie!... A kapitał zakładowy jego przedsiębiorstwa — to stara skórzana torba, panowie! To 10 probówek!...

Pan prokurator mówiłby napewno jeszcze znacznie dłużej, bo nigdy dotąd w jego karjerze urzędowej nie zbrakło mu słów mocnych, ani gestów okrągłych. Ale nagle stało się coś zupełnie dotąd niepraktykowanego.

Chmury na jesiennem niebie rozstąpiły się widać na chwilę, bo przez okno wpadł do sali sądowej snop jaskrawego światła. Wielka plama złota padła na poważne oblicze pana Hofrata Jakoba, który z pierwszego rzędu krzeseł przysłuchiwał się rozprawom. Niema w tym fakcie nic niepokojącego i nie wspominalibyśmy o nim wcale, gdyby nie okoliczność następująca.

Kiedy po kilku minutach słońce znów zasłoniły jesienne chmury, a w sali zapanował normalny półmrok miejsc urzędowych — okazało się nagle, że *nos* Hofrata Jakoba, *nos* człowieka, stojącego na bardzo wysokim stopniu hierarchji, *świeci*. Tak jest: *świeci!* Z lekko zgarbionej chrząstki, z wydatnych nozdrzy, z całego tego plastycznego — nieraz przez rzeźbiarzy portretowanego — dostojnego organu powonienia buchają jaskrawe strugi czerwonego światła, jak z latarni podejrzanego domu, jak z reflektora lampy samochodowej *).

Pierwszy dostrzegł niesłychane zjawisko optyczne ze swego wysokiego stołka prezydjalnego pan przewodniczący Mataja.

— Panie kolego Jakob! — huknął.

Hofrat wstał — wywołało to taki efekt, jakby ktoś wniósł do pokoju dużą stojącą lampę elektryczną, bez klosza i abażuru. Wszystkie rozmowy ucichły, publiczność na galerji zaczęła się tłoczyć i przechylać przez balustradę.

---

*) Pitaval „Berühmte Kriminalfälle".

— Słucham! — rzekł Hofrat.

— Jak pan śmie przychodzić w takim stanie na posiedzenie sądowe?! — grzmiał przewodniczący.

— W jakim stanie? — zdziwił się Dr. Jakob.

Na galerji — poruszenie. Tu i owdzie nawet lekkie parsknięcie...

Powaga sądu była doprawdy narażona na szwank. Ale znany zaszczytnie pan przewodniczący Mataja wykazał raz jeszcze, że potrafi wybrnąć zwycięsko z każdej sytuacji. Zadzwonił energicznie oburącz i, wskazując gestem antycznym ową czerwoną lampę buduarową, która przybrała postać doktora Jakoba, rzekł krótko:

— Proszę wyprowadzić pana sędziego śledczego z sali! Niech się prześpi w pokoju świadków... Posiedzenie trwa dalej!

— Czy mogę prosić o głos! — ozwał się raptem z ławy oskarżonych człowiek w habicie.

— Podsądny Przybram nie ma teraz głosu. Podsądny Przybram ma tylko prawo wypowiedzieć swoje ostatnie słowo.

— To będzie właśnie moje ostatnie słowo! Chciałbym zapytać o coś pana sędziego śledczego.

— Dobrze!

— Czy pan sędzia palił w ostatnich czasach cygara hawańskie?...

— Dosyć! To są kpiny! Co tu mają cygara do rzeczy?

— Ja pytam nie o cygara hawańskie wogóle,

tylko o cygara z pewnego pudełka — napis Harry Clay, Flor fina, para la nobleza, format pudła: spory tom in 4-o. Cygara te leżały dnia 18 b. m. na biurku — w pokoju, w którym składałem zeznania?

— Oczywiście, że je paliłem! Dlaczegóżby nie? To są moje własne cygara. Nabyłem je w sposób uczciwy.

Przybram uśmiechnął się i usiadł.

— Podsądny Przybram! Co to wszystko ma do rzeczy? Dlaczego oskarżony się uśmiecha?

Przybram wstał znowu.

— Pan sędzia śledczy we własnej osobie jest żywym dowodem, że nikogo nie oszukałem, nikogo nie otumaniłem i nikogo w pole nie wyprowadziłem. *Pan Hofrat Doktor Jakob zatruł się* mimowoli *nellitem,* który ukryłem wówczas w jego pudełku. Preparat „Przybram-Fiszl, 24" Pan Hofrat *absorbuje w dzień energję słoneczną, a w nocy będzie tryskał zato zimnym płomieniem.* To jest największy wynalazek stulecia, proszę panów. Jeżeli nie ma wartości handlowej i jeżeli pani Petzold i panna Pociemko-de Nora straciły przezemnie jakieś pieniądze, to — bardzo przepraszam obie te panie. Pieniędzy im nie zwrócę, bo nie mam. Ale gotów jestem teraz chętnie odsiedzieć całą sprawę. Zwyciężyłem!

Trudno wątłem piórem biografa opisać wrzask, rwetes i hałas, jakie nagle zapanowały na sali, ba! w całym „Szarym domu".

Galerja rzuciła się na parter, drzwi wejściowe z hukiem się otwarły, ze wszystkich korytarzy, biur,

ubikacyj, pokojów służbowych pędzili woźni, urzędnicy, adwokaci, dziennikarze, sędziowie, policjanci, stenotypistki, publiczność, powodowie cywilni i świadkowie odwodowi, aby obejrzeć niebywały fenomen przyrodniczy: promienny nos D-ra Jakoba.

Pan przewodniczący Mataja grzmiał, jak trąba pod bramami Jerycho, walił dzwonkiem w stół, bił pięściami w ścianę, tupał nogami o podłogę.

— Uciszyć się! — błagał resztkami głosu. — Spokój! Nic się nie stało! Pan sędzia śledczy usiądzie tam, gdzie leżą zazwyczaj dowody rzeczowe. Na tem koniec! *Schluss!* Dosyć! Na miejsca!

Napróżno. Coraz to nowe strumienie ludzkie wlewały się wszystkiemi drzwiami. Zapomniano o szacunku, należnym władzy, oglądano Jakoba, podawano go sobie z rąk do rąk. Szary dom huczał jak potworny ul, sala posiedzeń dudniła od gwaru, jak hala rozpędzonych dynamomaszyn.

Nagle stało się coś, co nawet ten rozbełkotany, rozpasany tłum zdołało uciszyć na chwilę. Na parapet galerji skoczył, jak wytrawny sportowiec, jakiś starszy, już siwawy, ale bardzo sprężysty pan; miękki kapelusz, który trzymał w zaciśniętej garści, puścił razem z ramieniem w niebywale szybki ruch obrotowy i przedziwnie dźwięcznym, donośnym, młodzieńczym głosem wołał ciągle w kółko:

— *Gentlemen! One cheer for Doctor Przybram! Gentlemen! One cheer for Doctor Przybram! He-rrraj! One cheer for Doctor Przybram! Herrraj!! for this good fellow! Herraj!!*

Tłum zrozumiał nareszcie, o co chodzi, bo z tysiąca gardzieli sędziów, policjantów i świadków odwodowych, z gardziołek pań, pisujących na maszynie, z ust stenografistek i dam, nieobdarzonych posadą państwową, zerwał się, jak na komendę, jeden głośny okrzyk:

— Hurra! Niech żyje doktor Przybram!

A wtedy starszy pan o czerstwej cerze jął mówić... Mówił szybko, po angielsku, a jednak tak wyraziście i jasno, że ostatni goniec sądowy, ostatni chłopak od windy — jakimś cudownym sposobem— rozumiał każde słowo.

— Ja jestem — mówił z parapetu galerji ów człowiek, bijąc się przytem pięścią w piersi, — ja jestem profesor William Morris z Pasadeny. Panowie o mnie nie słyszeli, ale to nic — w Ameryce mnie znają. Od dwóch tygodni (pokazywał na palcach, obrazowo, ten długi okres czasu) od dwóch tygodni — ja i ci moi towarzysze (gest w stronę trzech poważnych, rosłych, rzekłbyś: jednakowych jegomościów w jasnych homespunach) jedziemy dniem i nocą, przetrząsamy każdy kąt tej starej Europy, każdą dziurę, każdy Sambor, Lwów, Wiedeń, Jaremcze, Warszawę, Skolimów — w poszukiwaniu słynnego twórcy zimnych płomieni. Nic! kamień w wodę!

Dopiero wczoraj, jakaś karykatura w piśmie humorystycznem odkrywa mi nagle smutną prawdę: największy wynalazca wszech czasów jest identyczny z „podsądnym, Przybramem"!

Panowie, jechaliśmy całą noc ze Lwowa, siedzimy tu na galerji od trzech godzin, nie chcąc wpływać na bieg waszej sprawiedliwości. Ale teraz, kiedy się zdarzyła chwila przerwy, nie możemy milczeć dłużej i musimy dać świadectwo prawdzie! Oto są odbitki z „American Journal of Science" (tłum białych kartek, jak stado śnieżnych ptaków, zafurkotał w powietrzu), oto broszura moja o odkryciu kolegi Przybrama! Miałem to szczęście, że mnie właśnie powierzył wasz wielki uczony pracę swego życia. Przysłał mi do Ameryki dziennik swoich spostrzeżeń i próbki preparatów. Przerobiłem własnoręcznie jego doświadczenia.

Panowie, nie żądajcie ode mnie, abym w sali sądowej wygłaszał odczyty naukowe. Powiem krótko: *Hurrah for Doctor Przybram!* Stary człowiek jestem, ale dziś dopiero po raz pierwszy wiem, poco żyłem. Żyłem dla tej jednej chwili. Panowie, przysłuchiwałem się obradom — ja i ci moi towarzysze podróży. Jeżeli dobrze rozumiem, chodzi w tej sprawie o jakieś pretensje finansowe. Dwa tysiące marek w złocie! Ten mężczyzna w szarem ubraniu, z przystrzyżonemi wąsami, który stoi tu przy mnie — to Norman George Mac-Cormick, przedstawiciel grupy banków Morgana, ten drugi w okularach, to Campbell Woodrow Young, prezes *Rockefeller Relief Committee, European Branch.* Obaj ci panowie zakupią chętnie za wszelką, jaką im podyktować zechcecie, rozsądną sumę pretensje wdowy Petzold, czy też niejakiego Szwamdrybera!

Jeżeli nam tylko pozwolicie dojść do stołu prezydjalnego, panowie Young i Mac-Cormick wypiszą tu, na miejscu, czek na sto tysięcy dolarów, który wszystkie zobowiązania firmy „Solid Light Co." dziesięciokrotnie, stokrotnie pokryć powinien. Ja, niestety, nie znam dobrze waszego języka, natomiast ten oto asystent mój, Joseph E. Howard, przetłumaczy wam słowa moje... na pięć języków europejskich i na esperanto...

Ale doprawdy nic już nikomu nie trzeba było tłumaczyć. Stara zmurszała Europa złożyła w tej pamiętnej chwili dowód, że stać ją niekiedy jeszcze na entuzjazm młodzieńczy. Okrzykom nie było końca. Jakiś huragan zachwytu porwał ten tłum dziwaczny, stłoczony w zimnej sali sądowej.

— Niech żyje Campbell Young! Wiwat profesor Morris! Wiwat Mac-Cormick! Brawo Howard!

A kiedy siwy, czerstwy, żywy staruszek zbiegł na dół, stanął przed ławą oskarżonych, wyciągnął ramiona i potrząsnął mocno, mocno nietylko ręką, ale całą wiotką, wynędzniałą postacią doktora Przybrama — zdawało się, że emocja rozsadzi mury „Szarego domu".

— Hip, hip, hurra! Wiwat! Niech żyje doktor Przybram! — ryczano aż do zupełnego zachrypnięcia.

Nie zapalono jeszcze światła w gmachu, ale scenę oświetlał doskonale promienny, grający wszystkiemi barwami tęczy nos Hofrata Jakoba.

Przy tem świetle przewodniczący Mateja od-

był krótką naradę z ławnikami i, zamieniwszy słów kilka z poważnym, małomównym Kamillem Castiglioni (który — jak się okazało — miał już w rękach wszystkie — po węgiersku wydrukowane — akcje „Solid Light" — prócz niewielu sztuk pani Petzold, pana Josteiego, pana Szwamdrybera i panny Pociemko-De Nora) — wydał w ogólnym rozgardjaszu wyrok uniewinniający.

Nikt zresztą nie zwracał na to uwagi. Kilka rąk muskularnych pochwyciło zwiotczałą w więzieniu, wychudłą postać w rudym habicie, podniosło ją w górę i, przy gromkim wrzasku ustawicznych wiwatów, Doktor Przybram na ramionach mieszanej drużyny footballistów opuścił ponury gmach sądowy.

XII.

SOLID LIGHT C-o, TRIEST—PORTOROSE.

Nie możemy tu, niestety, opisywać szczegółowo dalszego przebiegu wypadków. Musielibyśmy przytoczyć cały rocznik *New-York-Times'ów*, streścić dodatki nadzwyczajne *Neues Wiener Journal'u*, przedrukować wywiady, studja, artykuły wstępne, artykuły finansowe prasy całego świata i feljetony satyryczne *Wiadomości Literackich*.

Zajęłoby to — nawet gdybyśmy chcieli użyć *petitu* — 250 tomów in folio, a i wtedy jeszcze większą część cennego materjału trzebaby było przenieść do suplementu.

Poprzestańmy zatem na suchem, sumarycznem wyłuszczeniu faktów.

Zaraz nazajutrz po posiedzeniu sądowem odbyła się w zamkniętej sali skromnego hoteliku „Hammerand" (w pobliżu Burgu) pierwsza narada, w której wzięli udział panowie Morris, Young, MacCormick, Howard i Kamillo Castiglioni. Postanowiono zaraz na miejscu rzucić do pieca „pierwszą

emisję", wydrukowaną ongi przez Gezę Nirensteina. Postanowiono też utworzyć nowe towarzystwo akcyjne, do którego przystąpili Morgan, Rockefeller, David Strauss i Kamillo Castiglioni (w imieniu „Banca Commerciale-Toeplitz"). Pierwsza (właściwie *druga*) emisja — siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Przybram siedział podczas sesji na miejscu honorowem, w fotelu, oparł głowę na ręku, mrugał zaczerwienionemi powiekami i nie brał zupełnie udziału w rozmowie. Pobyt w więzieniu stanowczo podkopał jego zdrowie. Czuł jakiś dojmujący ból w kości czołowej, raziło go światło dzienne, cyfry i sumy oszałamiały go i teraz tak samo, jak dawniej.

Na pytania finansistów dawał odpowiedzi zupełnie niedorzeczne i kiedy naprzykład przedstawiciel Banca Commerciale zagadnął go, ile, zdaniem wynalazcy, wyasygnować trzeba na budowę fabryki oraz zakup terenów — wymienił sumkę tak drobną, że zebrani długo nie mogli powstrzymać się od śmiechu.

Ożywił się dopiero, kiedy poruszono sprawę siedziby nowego Towarzystwa.

— Triest! — rzekł stanowczo. — Pirano! Tam po raz pierwszy w życiu widziałem słońce południowe. Chciałbym z okien pracowni móc spojrzeć na mego przyjaciela, Tartiniego, muzyka, który tam stoi na rynku, wykuty z kamienia. Ten skrzypek mi pomagał w doświadczeniach,

Finansiści, po krótkiej dyskusji, doszli do wniosku, że projekt wynalazcy tym razem nie jest śmieszny. W martwej wtedy zatoce Triesteńskiej można było nabyć tereny za bezcen, a komunikacja doprawdy nie była najgorsza, zwłaszcza, że można było odrazu, za stosunkowo niewielką sumę, zakupić na rzecz nowego przedsiębiorstwa wszystkie statki, należące do „Cosoulich-Line".

W pół godziny później Kamillo Castiglioni połączył się radio-telefonicznie z Triestem i zarezerwował dla fabryki pustkowia, położone u wylotu ulicy Viale Venti Settembre, w dzielnicy Chiadino. Jednocześnie nabyto na pracownię naukową zaciszną willę San Lorenzo w Portorose.

Pełny tytuł nowego przedsiębiorstwa brzmiał: *Przybrams Solid Light Co, Trieste-Portorose*. Cel: fabrykacja sypkiego światła. Dyrektor naczelny: Hubert I. Przybram. Wicedyrektor: Joseph E. Howard. Członkowie zarządu: Young (grupa Rockefellera), Mac-Cormick (grupa Morgana), Kamillo Castiglioni (bank Toeplitza).

Na odpowiedzialne stanowisko dyrektora warsztatów zaawansował — tego się domagał Przybram — trzeciorzędny mechanik z podejrzanego kina, Fiszl.

Co dziwniejsza — ten wybór był — jak się okazało — wprost klasycznym przykładem jasnowidzenia. Mały Fiszl, abiturjent dwóch klas gimnazjalnych w jakiejś brudnej mieścinie galicyjskiej, przejdzie do historji jako jeden z najciekawszych

talentów naukowych swego czasu. To on wynalazł *para-nellit* i jemu zawdzięczamy *płynne światło krystaliczne*.

Człowiek ten posiadał właściwie tylko jedną wadę: zaraz pierwszego dnia, kiedy los uśmiechnął się do niego, mały, czarny mechanik wprost z podartej, zatłuszczonej zielonej bluzy roboczej wpadł w inną ostateczność. Pobił rekord wszechświatowy Jacquesa Pipera! Owijał się w surowe jedwabie i wzorzyste batiki, zawiązywał na chudej szyi krawaty i szale, którym równych nigdzie dotąd nie widywano na tym globie. Perfumował batystowe chustki nardem i mirrą, wydobytą z grobowca faraonów.

Mimo to oddał niepożyte zasługi przy budowie i organizacji warsztatów.

Nie można było pojąć doprawdy, jakim cudem ten czarny, kędzierzawy chłopak już po tygodniu rozmawiał świetnie z robotnikami włoskimi, ba! kłócił się z nimi, jak przekupka.

Nie można było dociec, kiedy właściwie nauczył się terminologji naukowej, gdzie posiadł sztukę orjentowania się w zawiłych rysunkach technicznych. Dyskutował nieraz z takim mistrzem, jak Howard i — rzecz zdumiewająca — Amerykanin, przemyślawszy sprawę na nowo, prawie zawsze przyznawał mu słuszność. A już wręcz niesamowita była jego zdolność manewrowania subtelnemi przyrządami optycznemi, które sprowadzano od Zeissa z Jeny i od Hilgera z Londynu. Po raz pierwszy

w życiu widział spektroskop eszelonowy Michelsona, a już w trzy dni później meldował Przybramowi, mieszając do terminów technicznych solecyzmy lwowskie:

— Ta przysłali taki jeden drabinkowy interes z Londynu. Ta ja jego pionowo — on nic. Ja jego poziomo — on nic. Myślę ja sobie: to ty, batiaru, tak? Ta ja go wykręcił na sto osiemdziesiąt stopni— teraz takie spektrum daje, że narody klękajcie. Może pan dyrektor zaglądnie?

Wszystko wiedział, wszystkie plany umiał na pamięć i wszędzie go było pełno: w willi San Lorenzo zakładał przewodniki elektryczne, w Trieście doglądał robót budowlanych, na tarasie w parku montował przyrządy optyczne.

Rola owego człowieka nigdy należycie oceniona nie będzie. Jemu przedsiębiorstwo zawdzięcza co najmniej połowę sukcesu i bez niego nie doszłoby do skutku.

Przybram bowiem w owym czasie wpadł w apatję zupełną. Przesiadywał po dniach całych na „molo" w Portorose, nad zatoką, patrzył krótkowzrocznemi oczyma, które mu kazano przysłaniać żółtemi szkłami, na gładką taflę morza, na jasny klosz nieba i obracał wciąż jedną myśl w wycieńczonym mózgu: Nelli, Nelli, Nelli...

Już po kilku miesiącach, dzięki wytężonej pracy Fiszla, Howarda, dzięki pomocy profesora Morrisa, który nadesłał z laboratorjum swego w Kalifornji cały transport świetnie wykonanych, chemicz-

nie czystych pół-preparatów, można było przystąpić do syntezy na większą skalę.

Pierwsze zapotrzebowanie nellitów nadeszło, dziwnym trafem, z Berlina.

Aerodrom w Staaken zażądał 100 kilogramów substancji świecącej. Chodziło o to, żeby pokryć nią skrzydła aparatów lotniczych.

Sądzono, słusznie zresztą, że promieniujące płatowce zwiększą bezpieczeństwo komunikacji powietrznej.

Kiedy już „sypkie światło" w dostatecznej ilości dla tego celu wyprodukowano, Fiszl, po naradzie z Howardem, postanowił nie transportować tej masy koleją, ale, odwrotnie, zażądał przysłania aparatów lotniczych do Portorose.

Pewnego też dnia nad cichą zatoką, nad spokojną, błękitną równią Adrjatyku zafurkotało nagle w powietrzu dziesięć srebrzystych, aluminjowych aparatów Junkersa. Wielkie te białe ptaki okrążyły spokojnie i pewnie mieścinę Pirano i po krótkiem wahaniu, otrzymawszy sygnał radiotelefoniczny z willi San Lorenzo, skierowały się ku południowi i spoczęły bez szwanku na łąkach pod Santa Lucia.

Zmobilizowano natychmiast cały personel fabryczny, zaalarmowano centralę w Trieście i wszystkiemi dróżkami lądowemi, wszystkiemi statkami lokalnemi jęły napływać szare bataljony robotnicze do błogosławionej, słynnej z zefirów łagodnych

i drzew oliwkowych miejscowości na półwyspie Istrja.

Przez trzy dni dygotały dynamomaszyny, syczały łuki elektryczne. Proszkowano „fosfory“ w wielkich moździerzach, stapiano i przetapiano porcje nellitów.

Wielkie skrzydła aparatów trzeba było odjąć, pokryć je warstwą sypkiego światła i znów zmontować, poddawszy je uprzednio działaniu słońca.

Przez ten czas wieść o decydującym eksperymencie rozeszła się szeroko po świecie. Trzeba było skonsygnować całą załogę wojskową prowincji Venezia Giulia i tę część Włoch otoczyć kordonem, aby powstrzymać tłumy ciekawych. Wydano przepisy stanowcze i ostre. Coraz jakiś natrętny aparat lotniczy, albo motorówkę, wypełnioną dziennikarzami i reporterami, strzały armatnie z fortecy „Polveriera“ ostrzegały, że żartów niema i że nadmierną ciekawość można przypłacić życiem. Sprawozdawcy prasowi prawie wszystkich dzienników świata biwakowali w mieścinach przyległych: Laura, Padena, S. Antonio, Buje, Umaga. Nawet członek zarządu, Kamillo Castiglioni, nie mógł już dotrzeć do San Lorenzo i został zatrzymany w Miramar.

W Sobotę, dnia 15-go sierpnia, o godzinie 11-ej wieczorem zdjęto wielkie czarne płachty i drewniane „formy“, okrywające aparaty Junkersa, poczem w jednej i tej samej chwili dziesięć płatowców wzbiło się wzwyż...

Nie stać nas doprawdy na styl dość podniosły i dlatego oddajemy tu pióro w godniejsze ręce.

„Widok był niezapomniany, jedyny — pisze Zbigniew Uhodnik-Ciepichałł, poeta i sprawozdawca lwowskiego „Słowa Polskiego". — Dziesięć gorejących orłów, dziesięć ogromnych, nadnaturalnych, apokaliptycznych robaczków świętojańskich, dziesięć słońc rozpalonych jęło krążyć nad nami!

Zdawało się, że jakaś katastrofa grozi światu, serca, zdjęte lękiem, biły na alarm, ludzie mieli wrażenie, że samo niebo nad Baja di Portorose rozżarzy się do czerwoności i spłonie za chwilę, jak bibułkowy lampion chiński, na który padł płomień świecy. I dopiero uczeńsi musieli tłumaczyć naiwnym: panie! to bezpieczniejsze od papierosa! to można śmiało dotknąć ręką! To są przecież *zimne płomienie* Przybrama! Zaiste człowiek, który tego czynu dokonał..."

Człowiek, który tego czynu dokonał, szanowny panie Ciepichałł, siedział w najciemniejszym pokoju willi San Lorenzo, a jego wargi spieczone gorączką, poruszały się jednostajnie, rytmicznie: Nelli, Nelli, Nelli...

W tym samym czasie aparaty telegraficzne całego świata stukały bez przerwy, spienione maszyny drukarskie ciężko dysząc pluły ostatniemi białemi szmatami papieru:

„ŚWIECĄCE PTAKI NAD WENECJĄ!"
„JARZĄCA ŁUNA ZIMNEGO ŚWIATŁA

NAD TRIESTEM!"

„TĘCZE PRZYBRAMA NAD ALPAMI!"

„PŁOMIENNE PŁATOWCE MIJAJĄ GRAZ!" „BIAŁA NOC W SEMMERINGU!"

„ZIMNE PŁOMIENIE NAD WIEDNIEM!"

Ogniste żórawie ciągnęły na północ tą samą prawie drogą, którą niedawno odbywał — ciupasem — ich twórca... Tylko poziom był tym razem o kilkaset pięter wyższy.

XIII.

NELLI (po raz drugi).

Po owym głośnym raidzie lotniczym trzeba było willę San Lorenzo otoczyć drutem kolczastym, zabarykadować i wogóle zamienić na małą twierdzę. Jej mieszkańcy byli oblegani ustawicznie; na każdej dróżce, w każdej alei oliwkowej czyhały na nich bandy dzikich reporterów, fotografów, operatorów filmowych.

Fiszl musiał wreszcie zorganizować obronę według prawideł sztuki wojennej: przeprowadził zasieki, porozciągał druty, naładowane do kilku tysięcy woltów, porozlepiał plakaty: *Uwaga! Pod bramami założono miny i fugasy, w parku zastawiono pułapki, przekopano wilcze doły! W ciągu minuty zamieniamy dorosłego dziennikarza na kupkę zwykłego proszku! Uwaga! Wysokie napięcie! Nie dotykać klamki, bo śmierć!*

Ponieważ nie można sobie było — mimo to wszystko — dać rady z natrętami, których całe armje nadciągały ze wszystkich stron świata, Fiszl

wymyślił „sztucznego Przybrama". Był to doskonale skonstruowany manekin; ukazywał się w południe na balkonie, mówił kilka słów nosowym, gramofonowym tonem i znikał. Kilka razy umieszczono jego fotografje w pismach, ogłaszano sensacyjne *interview'y* z tą kukłą, opisywano jej ujmujący uśmiech:

„Słynny wynalazca, Prometeusz czasów nowszych, raczył dziś przyjąć naszego korespondenta — pisał ten i ów ze sprawozdawców. — Wygląda czerstwo i zdrowo, czytuje co rano przy śniadaniu nasze pismo i interesuje się żywo naszem miastem. Na uprzejme zapytanie—odpowiedział dosłownie". Ale już po miesiącu humbug wyszedł na jaw i trzeba było obmyślać nowe środki obronne przeciwko intruzom.

Raz zjawiła się — w dzień wyjątkowo upalny — cała delegacja panów w twardych koszulach i wysokich, sztywnych, stojących kołnierzykach. Panowie ci napadli Fiszla na wybrzeżu, powiedzieli mu, że są z jego rodzinnego miasta, Chrzanowa, i że muszą się bezwzględnie widzieć z Przybramem. Przywożą genjalnemu rodakowi dyplom honorowy, mianowali go *honoris causa* obywatelem chrzanowskim i chcą mu wręczyć zarazem w imieniu Warszawskego Tow. Naukowego medal srebrny i nagrodę (300 złotych) imienia Bałturkiewicza.

Dziwnym trafem Mistrz zgodził się przyjąć delegację chrzanowską. Zainteresowała go mianowicie kwestja, kto to był ów Bałturkiewicz. Niestety,

delegaci nie mogli mu dać w tej mierze żadnych wyjaśnień.

— Był to napewno sławny człowiek—przynajmniej u nas wszyscy o nim piszą. Ale co zrobił i czem się właściwie odznaczył — niewiadomo.

Obiecali solennie, że po powrocie do kraju postarają się wyświetlić tę sprawę i o rezultacie swych badań zawiadomią odwrotną pocztą Przybrama.

Byli to jedyni ludzie, prócz otoczenia najbliższego, którzy w owym czasie doprawdy widzieli mistrza.

Tymczasem w willi San Lorenzo trzeba było założyć dwa nowe telefony i zbudować własną stację telegraficzną, gdzie urzędnicy pracowali bez przerwy, dniem i nocą. Z całego globu nadchodziły depesze, zamówienia, zapytania — nie mówiąc już o zwykłych gratulacjach.

Admiralicja amerykańska zażądała trzystu tonn *zimnych płomieni dla latarń morskich* w Delaware, New Haven, Chesapeake Bay, Jacksonville i Nantucket.

Port lotniczy w Lake Hurst (komendant — kapitan Pierce) zapytywał, czy można *pokryć sypkiem światłem olbrzymie przestrzenie* pod miastem, aby ułatwić przez to *lądowanie* wielkim statkom powietrznym pasażerskim.

Warsztaty Zeppelina w Friedrichshafen prosiły o *plastyczną masę świetlną* dla nowego typu okrętu, który nazwano „Przybram L 1".

Towarzystwo transportowe „Cunard-Line" błagało o zaszczyt puszczenia na morze pierwszego *śrubowca promienistego,* który będzie krążył po wodach z Pernambuco do Liverpoolu.

Szef służby bezpieczeństwa w Londynie, baronet Horacy Hughes (London, Downing Street) przysłał telegram pilny z zapytaniem, czy nie możnaby nakarmić *rozpuszczonemi nellitami notorycznych bandytów* i zmusić ich, *aby nocami świecili na czerwono* w odróżnieniu do obywateli statecznych, tryskających — dajmy na to — światłem blado-zielonem.

Zarząd miasta New Providence, w stanie Alabama, postanowił jednogłośnie rozbić i sprzedać naszmelc z przetargu publicznego wszystkie latarnie uliczne, *oświetlić* natomiast place i arterje główne *radiatorami Przybrama.* Chciano poprostu *otynkować sypkiemi płomieniami fronty domów* po południowej stronie ulicy i żądano kosztorysu.

Zjednoczone Towarzystwa filmowe Hollywood-Los Angelos przysłały kablogram terminowy z krótkiem zawiadomieniem. „Po naradzie z profesorem Morrisem (Pasadena) wyprawiliśmy wczoraj do Triestu na okręcie „Milwaukee" delegata naszego, Ernesta Lubicza, który zabiera z sobą dla „Cold-Light Co" dwa miljony dolarów zaliczki na *sztuczne słońce,* umożliwiające zdjęcia kinematograficzne w dni pochmurne i w noce bezksiężycowe".

Obserwatorjum astronomiczne w Juvisy (dep. Sekwany, Francja) wysyłało co wieczór o 6-ej de-

peszę iskrową: „Solid-Light, Triest, Portorose. Zamierzamy podczas najbliższej opozycji *porozumieć się z Marsem*. Prosimy o kilka tysięcy *beczek światła* — rozpuścimy je w Sekwanie na przestrzeni od Paryża do Havru. Rzeka — ze względu na liczne serpentyny i zakręty — nadaje się świetnie do sygnalizacji. Będzie wyglądała z perspektywy kosmicznej, jak *rozżarzona do białości sprężyna*. Cordialités — Juhaux".

Zdawało się, że centrum świata przeniosło się nagle do Portorose i że serce całej ziemi tętni w małej willi San Lorenzo.

Nawet muskularny, żylasty atleta Howard był przemęczony pracą. Spał i jadł w swoim pokoju laboratoryjnym na piętrze i nie odrywał już prawie oczu od lunet i spektroskopów. Żuł gumę, ssał krótką faję porcelanową i pracował, pracował, aż do zupełnego stępienia. Czasami tylko na krótką chwilę wypadał do parku, okrążał pędem, równym krokiem zawodowego szybkobiega, wszystkie drzewa oliwne, fikał kilka koziołków, przerabiał kilka ćwiczeń systemem Muellera i wracał znów do pracowni.

Mały Fiszl sczerniał zupełnie. Pachniał jeszcze wszystkiemi kadzidłami Wschodu, ale oczy miał podkrążone, twarz często nieogoloną o odcieniu fioletowym, jak śliwka-węgierka. Nie sypiał już prawie wcale, zacisnął wargi, nie klął po łyczakowsku. Niekiedy tylko — w wypadkach wyjątkowo trudnych — przemawiał nagle do substancji chemicznej

albo do subtelnego przyrządu optycznego: ach ty, batiaru jeden!

Wielki impet tej pracy wyrwał wreszcie i Przybrama z apatji. Mistrz ustawił kilka przyrządów w pawilonie ogrodowym i, pozostawiwszy technikę swym współpracownikom, zajął się — rzecz dziwna — zastosowaniami medycznemi swego epokowego odkrycia. Łykał sam dawki nellitów, badał optycznie tętno serca, ruchy diafragmy i wykrył wreszcie nowy — używany dziś powszechnie — sposób uskultacji *(opiopulsator Przybrama)*.

Nelli od roku mieszkała w Wiedniu, gdzie wciąż jeszcze pracowano nad scenami końcowemi „Pamiętnika starej panny". Piper obiecywał sobie, że ów super-film obleci cały glob, zwłaszcza zaś liczył bardzo na Amerykę.

— Zazdroszczę pani — mówił do Nelli. — Co ja? Ja — nic, zostanę tu, na starych śmieciach. Zarobię trochę pieniędzy i koniec. Ale pani! Jak Nowy Jork to zobaczy — Boże! czy pani ma pojęcie, co się będzie wyrabiało! Talmadge w kąt, Mary Pickford, Gish. Ozłocą panią! Na rękach panią będą nosili. Samochody, potrójny sznur pereł, „koh-i-noor" w uchu, diadem na gołwie. Żeby nie te sceny z tym pani durnym Olafsonem... To był pomysł, nno!

Nic dziwnego, że Nelli nie odpisywała na listy Przybrama. Nie miała doprawdy czasu na podobne głupstwa. Co wieczór udawała się z amantem

Weichteilem i z Piperem do pewnego dancingu i tam we troje, aż do rana omawiali zakończenie obrazu.

Epilog się nie udawał. Niewiadomo było, co począć właściwie z bohaterką: czy posadzić ją z niemowlęciem na krze lodowej i wtedy wyratować, czy też umieścić w płonącym domu, skąd ją miał w ostatniej chwili wyciągnąć Weichteil, jako strażak. Nelli jednego dnia siedziała — w atelier— w płonącym domu, nazajutrz pływała w basenie na krze lodowej, a trzeciego dnia wyskakiwała — tytułem próby — z wagonu podczas strasznej katastrofy kolejowej w tunelu.

Weichteil proponował, żeby ją otruć ługiem, kierownik literacki, Orlando Szmeks, był zdania, że trzebaby ją rzucić na szyny pod pociąg pośpieszny, autor scenarjusza chciał ją zgładzić, a dyrektor finansowy — zatrzymać przy życiu.

Tygodnie mijały, zepsuto kilka tysięcy metrów filmu, a epilog wciąż nie miał właściwej *pointy*.

Nelli była tak przejęta temi, doniosłemi zresztą, zagadnieniami natury artystycznej, że nie zwracała zupełnie uwagi na artykuły po dziennikach i na niezwykłe wiadomości z nad Adrjatyku. Czytywała wyłącznie specjalny organ filmowy, albo „Vogue", a tam zbyto wielkie odkrycie naukowe dość suchą wzmianką: „Wynalazek Przybrama a dekolt".

Natomiast inne zjawisko poczęło ją intrygować i śmieszyć: w oknach najwykwintniejszych sklepów

galanteryjnych na Grabenie ukazywały się coraz częściej — „kołnierzyki Przybram"! „krawaty Hubert I. Przybram"! „najmodniejsze getry — fason H. Przybram"! „Kamizelki włóczkowe — dernier cri — Przybram"! „Oryginalne paryskie — bretelles Pchibram".

Nelli stawała przed witrynami sklepowemi i zanosiła się od śmiechu. Przybram jako wyrocznia mody! Człowiek w pomarszczonem ubraniu marengo! Człowiek, który nigdy nie umiał zawiązać krawata na muszkę i który jadł szparagi z niewłaściwego końca!

— Poszaleli, czy co! — ruszała ramionami diva. — Jakim sposobem jego nazwisko może być reklamą dla szelek.

Powoli słowo Przybram wpadało jej w oczy coraz natrętniej i zaczęło ją wreszcie razić i irytować, jak irytuje Odol, Anna Csillag, pasta „Pebeco".

— Co oni w nim takiego widzą? Co się stało?

Darła na strzępy listy, nadchodzące z San Lorenzo. Ów docent o głębokich oczach, naiwny, jak dziecko, rozprawiający tonem historyka o najbłahszych i najpospolitszych rzeczach — o tańcu, o celowości guzików — był swego czasu zabawny i sympatyczny. Ale teraz — kiedy się brutalnie oczom narzucał na każdym rogu ulicy — brr! budził poprostu odrazę.

— Genjusz? — dziwiła się Nelli. — Geza i James kpili sobie z niego nieraz w najlepsze, urzędnik

na komorze powiedział o nim „kretyn". Piper, fotograf, pomocnik reżysera wymyślali mu podczas zdjęć od ostatnich... Teraz ni stąd, ni zowąd król włoski nadał mu tytuł „duca di Capodistria"!? Co za brednie! To niemożliwe. Jakaś zwykła blaga dziennikarska.

Miarę goryczy przepełniła kropla — nie tak znowu mała, jakby się zdawać mogło.

Do miejscowości Baden pod Wiedniem zjechał z całym sztabem swych doradców nowojorski dyktator filmowy, Zuckor. Po długich staraniach panowie z „Piper-Film" uzyskali wreszcie audjencję i zawieźli do Baden na pokaz sześć części „Pamiętnika starej panny" (bez epilogu).

Punktualnie o dwunastej w południe Zuckor przybył do wynajętego specjalnie kinoteatru „Arkada", gdzie go powitali Piper, autor scenarjusza, amant Weichteil, dyrekcja wytwórni i gdzie mu oczywiście przedstawiono bohaterkę „Pamiętnika", uroczą Nelli Mansilla.

Zuckor zasiadł wygodnie w dziesiątym rzędzie krzeseł, nałożył okulary, zapalił cygaro i patrzał uważnie. Już po pierwszej części wstał, odsapnął i powiedział krótko: *No. Impossible.*

Te dwa słowa wywołały istny popłoch. Oznaczały poprostu ruinę i bankructwo „Piper-filmu".

— Dlaczego niemożliwe?—pytał blady z przerażenia dyrektor finansowy.

— Amant ma marynarkę na trzy guziki. To jedno już wystarcza.

— A bohaterka? A nasza urocza Mansilla?

— Robi tysiące zbytecznych gestów. To przecież nie teatr, to Sztuka!

Ledwie go uproszono, żeby raczył przynajmniej obejrzeć część drugą. Ściemniono światło, zaterkotał aparat projekcyjny.

— Stop! — krzyknął nagle Zuckor. — Kto gra Olafsona?

— Amator, przygodny statysta, pseudonim: de Putti — usprawiedliwiał się Pipper. — Te sceny można ostatecznie usunąć... Są bez znaczenia dla dalszej akcji.

— Jak się nazywa ten Olafson? Stop! Puścić film jeszcze raz! Tak. Więc gdzie ów człowiek jest? gdzie go szukać? Co to za jeden?

Nie było rady. Piper musiał przytoczyć w głównych zarysach całą historję fałszywego Pospiszila.

— Więc, krótko mówiąc, Olafson — to dzisiejszy dyrektor „Solid-Light'", H. I. Przybram?

— Tak.

— Szkoda. Wielka szkoda. *Sorry!* Ofiarowałbym mu w Hollywod bardzo wysoką gażę. Cóż— on się teraz obejdzie bezemnie. Ma inny fach.

— A film? Co począć z filmem? — pytał drżącym głosem Piper.

— Jakto? pan się jeszcze pyta o takie rzeczy? Panowie mają żyłę złota w ręku. Obciąć całą taśmę, wyrzucić na śmietnik „Starą pannę", zostawić dwie sceny z Olafsonem, napisać „H. I. Przybram przy pracy" i puścić na ekran! *Tonnes of money!*

Żadne pismo dotąd nie mogło zdobyć jego fotografji. Nikt nie wie, jak on wygląda, tłumy łakną jego widoku, tysiące dolarów wam za to zapłacą. O ile, oczywiście, Przybram nie zaprotestuje... Lekkie fałszerstwo w tem jest. On grał do kina i może zażądać, żebyście go pokazywali wyłącznie jako Olafsona...

Co się stało dalej — nie wiemy, niestety, dokładnie. Opowiadają sobie ludzie, że dnia owego elegancki Jacqu'es Piper miał przedział mocno zwichrzony i wypieki na twarzy. Po krótkiej rozmowie z dyrektorem finansowym przedsiębiorstwa „Piper-Film" zabrakło mu też nagle kilku zasadniczych guzików przy kamizelce i kilku spinek przy koszuli.

W archiwum prywatnem willi San Lorenzo znaleźliśmy natomiast list następujący:

Szanowny Panie!

Nie wiem, czy Pan mnie sobie jeszcze przypomina i czy listem swoim nie odrywam Pana niepotrzebnie od ważnych zajęć i pracy naukowej. Piszę — bo Piper i Friedell wciskają mi, że tak powiem, gwałtem pióro do ręki. Nie odstępują mnie ani na krok i błagają o protekcję.

Tym ludziom grozi ruina, jeżeli Pan nie pozwoli im na sprzedaż dwóch scen, wyciętych z „Pamiętnika", które pod tytułem „Przybram przy pracy", mają być wyświetlane oddzielnie w większych

kinoteatrach świata. Tylko te dwie sceny ocalały ze „Starej panny", a i z tych jeszcze mnie i Weichteila postanowiono zupełnie usunąć, wyskrobać i wyretuszować.

Mój Boże—„Stara panna" miała być szczeblem do mojej świetnej karjery artystycznej... Teraz ten szczebel wyrzucają na śmiecie...

Liczę, że Pan mi nie odmówi i krótkiem „tak" zawiadomi telegraficznie „Piper-Film" o swej decyzji przychylnej. O czem mam pisać więcej? Jestem samotna, nie mam nikogo na świecie i źle mi bardzo. James Castiglioni miał jakąś przykrą i głośną aferę — sprzedał komuś za większe pieniądze niezupełnie prawdziwe pamiętniki Napoleona. Jest już od kilku miesięcy w Argentynie, dokąd go wysłał jego stryj, bankier Kamillo Castiglioni. Geza Nirenstein pojechał z nim razem, Rumun zgolił faworyty i jest płatniczym w barze „Monico".

Gdyby Pan posiadał jeszcze tę probówkę Nr. trzynasty, niech Pan ją przyśle

biednej

Nelli.

XIV.

UCIECZKA (da capo).

W dwa czy trzy dni po otrzymaniu listu z Wiednia — późną nocą — dyrektor Przybram wezwał do swego samotnego pokoju Fiszla. Był ubrany w szary garnitur podróżny, pakował jakieś przedmioty do małej, starej wyświechtanej torby skórzanej.

— Słuchaj, Fiszl — rzekł, zamknąwszy drzwi na klucz. — Niczemu się nie dziw, nie stawiaj mi żadnych pytań. Odpowiadaj mi zwięźle, krótko, rzeczowo. Czy ja mam jakie pieniądze? Własne, zarobione, uczciwe?

Fiszl otworzył oczy szeroko, ale się pohamował.

— Pan ma, prócz stałej pensji, piętnaście procent akcyj „Solid-Light". Ile to jest warte — obliczyć trudno, bo tych papierów, mimo szalonego popytu, niema w obiegu giełdowym. Wiem tylko tyle, że niedawno za trzy stare papierki z „pierwszej" emisji, które się odnalazły gdzieś pod szafą w hote-

liku „Bristol", *boy* hotelowy otrzymał 75 tysięcy dolarów. Założył sobie własną restaurację.

— Dobrze. Przyślesz mi niedużo, kilka takich akcyj do Wiednia — hotel „Hammerand". Dalej! Czy ja mogę otrzymać jakiś glejt, jakiś list żelazny, jakiś dokument taki, żeby mi wolno było jechać, kędy zechcę, pójść, gdzie nogi poniosą, żeby mi wolno było, jak średniowiecznym włóczęgom, wałęsać się po drogach publicznych? maszerować, nie rozbijając — w zamyśleniu — łba o słupy graniczne?

— Nie żyjemy, niestety, w średniowieczu, dyrektorze. Pan musi mieć legalny pasport... Może pan jeździć jako Nberto di Capodistria, jako Dr. H. I. Przybram, przemysłowiec, urodzony w Samborze... Wreszcie jako Hubert Przybram, obywatel honorowy miasta Chrzanowa...

— Na nic! Na nic! — jęczał mistrz.

— Hm... Możemy panu ostatecznie wyrobić pasport fałszywy. W naszym warsztacie triesteńskim jest pewien szofer, łudząco do pana podobny. Pospiszil...

— Wyrobi mi pan cztery różne pasporty. Na nazwisko Pospiszila, Odstrczila, Harun al Raszyda i Oesztergoem-istenem-gödölö. Cel podróży: — gwiazdozbiór Kassjopeja.

— Dobrze.

— Zaraz, zaraz! Chwileczka! A gdybym się chciał ożenić?

— To jeszcze bardziej komplikuje sprawę. No-

wożeniec nie może się legitymować jako Oeszter-goem-Gödölö. Żaden urzędnik nie wpisze pana do ksiąg stanu cywilnego. Oni mają za małą pensję, jak na taką kolosalną ilość liter... Będą robili trudności...

Nazajutrz pociągiem popołudniowym Przybram wyjechał w kierunku na Udine-Tarviz.

Aż do stacji Wiener-Neustadt wszystko szło pomyślnie, po stronie włoskiej był Pospiszilem, po stronie austrjackiej Odsrczilem. Ale w Neustadt poznała go gromadka inteligentnych subjektów handlowych, którzy już zdążyli gdzieś w kinie obejrzeć sensacyjny dodatek nadprogramowy „Przybram przy pracy".

Zaczęła się niepokojąca bieganina po korytarzach wagonu, ktoś ustawicznie odsuwał drzwi przedziału, zaglądał, uśmiechał się życzliwie — jacyś ludzie szeptali ustawicznie: *„der Erfinder, der Prschibram, der moderne Prometheus"*.

A kiedy wreszcie pociąg pospieszny przyozdobiony szyldzikami: *Roma — Bologna — Ferrara — Venezia — Wien Sbf.* wtoczył się, sapiąc i pogwizdując, na stację Wiedeń — Dworzec południowy, okazało się, że cały peron, wszystkie poczekalnie, cały plac przed dworcem — wybrukowany jest literalnie głowami ludzkiemi. Tłum przerwał oddawna wszelką komunikację kołową: tramwaje stanęły i dzwoniły bez przerwy rozpaczliwie choć bezskutecznie, samochody furkotały i dudniły w miejscu, nacierając odważnie na żywy zwarty mur, opasłe

konie policyjne miotały się jak w gorączce. Jakaś deputacja z orkiestrą dętą utorowała sobie drogę do wagonu pierwszej klasy i kiedy nieszczęśliwy Przybram stanął wreszcie na stopniu — ze swą starą torebką skórzaną w ręku — bluznął raptem z mosiężnych trąb uroczysty marsz powitalny, a z tysięcy piersi ludzkich jakiś wrzask nieopisany. Zaniesiono wynalazcę do samochodu, szarpano na nim ubranie, wydarto mu z rąk — na pamiątkę — stary zielony, filcowy kapelusz. Gdyby nie ostra szarża policji konnej, jego auto nie dowiozłoby go żywcem do hoteliku Hammerand.

Tu zresztą cała historja powtórzyła się *ab ovo*. Tłum w mgnieniu oka zapełnił wszystkie ulice przyległe aż do Ringów włącznie. Straż bezpieczeństwa próbowała wykopać jakieś ścieżyny w tej plastycznej masie żywej, ale sprawiało to takie wrażenie, jakby ktoś czerpał wodę sitem albo dziurawą śluzą chciał zagrodzić rzekę.

Przybram wydłubał nieduży otwór w firance, zasłaniającej jego okno w apartamencie na pierwszem piętrze, i patrzał z przerażeniem na placyk przed hotelem.

Był osaczony, uwięziony. Nie było cienia nadziei, żeby mógł wyjść na miasto odszukać Nelli, pomówić z nią serdecznie, we cztery oczy, wyjaśnić nieporozumienia...

Co chwila pukał ktoś do jego drzwi. Dyrektorowie podupadłych teatrów żądali od niego, żeby ratował Sztukę, żeby przyszedł dziś na spektakl

i podniósł przez to frekwencję, towarzystwa naukowe prosiły go o cykl odczytów, towarzystwa filantropijne o datek. Drużyny sportowe mianowały go w ciągu godziny członkiem honorowym piętnastu różnych zrzeszeń lekkoatletycznych, jacyś krawcy błagali go, jak o zaszczyt, o pozwolenie wzięcia na poczekaniu miary i wykonania dlań gratis garnituru wizytowego. Pisma ilustrowane domagały się fotografji z podpisem i aforyzmem, pisma codzienne prosiły o wywiad. Gazety drukowały w wydaniach specjalnych grubym drukiem, na pierwszej stronicy, co będzie dziś robił o dziewiątej, o trzeciej, o piątej, dokąd się uda na obiad i dokąd na kolację.

Człowiek normalny, kiedy wybije jego godzina i przyjdzie nań chwila odpowiednia, biegnie do pierwszej lepszej kwiaciarni, nabywa bukiet róż albo fijołków i z tym bukietem tudzież z sercem, mocniej kołatającem w piersiach, idzie, gdzie trzeba i tam się oświadcza, całując w rękę, kogo należy. Przybrama nieprzeliczony tłum odprowadzał do kwiaciarni, jacyś reporterzy biegli przed nim i za nim, jakieś damy wyrywały mu kwiatki z bukietu, zostawiając mu — dla własnych jego celów matrymonjalnych — kilka drutów, bibułkę i oskubane łodygi.

Po wielu nieudanych próbach i bezowocnych wysiłkach Przybram postanowił oświadczyć się telefonicznie.

Pewna — starsza już dzisiaj — panienka z centrali, która zgodziła się łaskawie na udzie-

lenie nam kilku niezbędnych informacyj, nie przypomina już sobie, niestety, dokładnie tej rozmowy Huberta z Nelli. Wie tylko, że usłyszała krótkie, nieśmiałe „Tak" — poczem trzeba było włączyć natychmiast międzymiastową — Triest, redakcję „Neue Freie Presse" i austrjackie prezydjum rady ministrów.

Po pewnym czasie znów nawiązano na chwilę rozmowę miłosną, ale włączyła się do niej „American United Press" i Powszechne Towarzystwo Elektryczne.

I znów ktoś komuś powiedział: pokochałem (łam?) cię od pierwszej chwili—i znów wdarła się w ten dwuśpiew Filja wschodnio-europejska zakładów „Przybram Light Co.", Towarzystwo transportowe „Cosoulich-Line" i „Saturday Evening Post".

Kilka bardzo ważnych szczegółów zawdzięczamy natomiast konduktorowi wagonów sypialnych na linji Wiedeń — Berlin.

— Poznałem go odrazu — mówi ten człowiek, — aczkolwiek młode małżeństwo podróżowało incognito, jako pan inżynier Odstrczil z żoną (przedział Numer 3, środkowy).

Usiedli, pamiętam, w wagonie restauracyjnym; on nie odrywał od niej oczu, nie patrzał ani na ludzi ani nawet na krajobraz i szeptał głosem ciepłym, przyciszonym, ale wyraźnie:

— Jesteś *promienna*, Nelli, ale nie będę cię tak nazywał. Ja, który byłem wielbicielem słońca, wyznawcą płomienia i ognia, uciekam dziś od świa-

tła, jak ptak nocny, jak puhacz, sowa i nietoperz. Prawdę mówił Geza. Z naszych odkryć, z naszych marzeń, z naszych snów fantastycznych ludzie robią natychmiast piłę drewnianą. Zobaczysz — w Berlinie, na stacji *Zoologischer Garten*, stoją już pociągi z lokomotywami, wybejcowanemi jaskrawym *zimnym płomieniem*. Pan zawiadowca ma mundur, impregnowany nellitami i tryska mocnem zielonem światłem. Tragarz kolejowy wędruje, jak nieduży słup niebieskiego ognia, kaski policjantów świecą mocniej, niż ongi reklama dużego kinematografu. Na naszą cześć podpuszczą z Tempelhofu całe stado gorejących ptaków i wysypią na bruku Potsdamer Platz'u płomiennemi sześciometrowemi głoskami słowa: *Hoch Przybram!* Nawet lift-boy będzie miał czapkę, przenicowaną poprostu z reflektora latarni morskiej...

Nie dziw się więc, kochana moja, że nie wiozę ciebie do krajów słonecznych na jasny brzeg i do Hiszpanji. Znienawidziłem światło i uwielbiam mrok. Pojedziemy na północ.

Jest pod Stockholmem mieścina Westeros. Istniała tam dawniej wielka fabryka elektrotechniczna, która już dziś — oczywiście — oddawna zbankrutowała. Mieszkańcy owego Westeros złorzeczą mi i poprzysięgli sobie, że nigdy szczypty sypkiego światła do swojej gminy nie sprowadzą. Pojedziemy tam do nich. Spędzimy wśród tych ludzi szczęśliwych, którzy jeszcze wieczorami przy idyllicznej lampie elektrycznej siadu-

ją, nasze miesiące miodowe. Nikt nas nie pozna. Mam w zapasie zupełnie nowy, nieużywany pasport na imię nauczyciela botaniki, prof. Ludwika Lamberta. Będziemy jeździli na nartach i lepili bałwana ze śniegu. A wieczorami... Noc! Rozumiesz, Nelli? Zupełna czarna, ciemna noc, choć oko wykol! Niebo, jak olbrzymia kopuła z czarnego węgla! Rozumiesz, Nelli, całą rozkosz tych słów! Wyobrażasz sobie taki widok? ciemno, ciemno, ciemno... tylko tam, w oddali, lampa łukowa mruga, pali się nikły reflektorek na 20 tysięcy świec...

Widzimy z tych zdań, że mistrz przewidział właściwie wszystko, prócz jednej rzeczy: w Berlinie entuzjazm wzrósł do takich rozmiarów, że zatarasował zupełnie nowożeńcom drogę do miasta!

Ich wagon skierowano z dworca Anhalckiego na dworzec Poczdamski, a z Poczdamskiego zwekslowano ich znów na *Alexander-Platz*. Nie było rady! Na wszystkich tych stacjach gromadziły się natychmiast takie zapory z wiwatujących tłumów, że Przybram, w obawie o swą jasnowłosą Nelli, nie wysiadł wcale z pociągu...

A jednak — mimo to powszechne i nagminne delirium — wypuszczono już wtedy pierwsze zatrute strzały z kołczanów. Nie chcemy tu nikogo oskarżać, ale pióra, grubo wyzłocone przez towarzystwa i koncerny elektryczne, ślizgały się już po papierze, szkicowały pierwsze artykuły: „czy nasz system nerwowy wytrzyma tę powódź świetlną?" „O zwiększeniu się ilości samobójstw pod wpły-

wem fosforów Przybrama". „Co mówi psychjatrja o białych nocach?", „Freud a Przybram", „Nellity a historja".

— Nie wiemy—pisał jeden z poczytnych dzienników,—kto się podczas pamiętnych rozpraw w sądzie wiedeńskim więcej przysłużył ludzkości—prokurator czy obrońca... Obawiamy się, że cokolwiek za wcześnie, niestety, wypuszczono „wynalazcę" z więzienia...

XV.

— ? —

O pobycie Przybrama w kraju nie mamy, niestety, wiadomości ścisłych i pewnych.

Nie podzielamy zdania profesora Wądołkiewicza *), który twierdzi, że Prometeusz z własnego popędu zajechał do Zbąszynia. Przeciwnie. Jego wizyta tem się głównie tłumaczy, że zawiadowca stacji Berlin — Dworzec Śląski przyczepił pewnego dnia ni stąd ni zowąd wagon salonowy wielkiego męża do ekspresu Paryż — Warszawa — Leningrad (Piotrogród — Petersburg — Judeniczville).

Urzędnik komocy celnej, Władysław Śledź, wszedł do przedziału, zajętego przez młodą parę, obejrzał dokładnie bagaż Nelli i skórzaną torbę Przybrama i, ponieważ dnia poprzedniego obchodził w gronie przyjaciół pewną uroczystość fami-

---

*) Wądołkiewicz „Studja historyczne".
Gdybysiowa i Dałbybóg „Fizyka dla szkół średnich".

lijną a alkohol podniecał w nim zawsze inwencję twórczą, — domyślił się odrazu, że coś tu jest nie w porządku.

Wzięto uczonego do rewizji osobistej i wykryto natychmiast pasport na imię księcia di Capodistria, pasport na nazwisko Odstrczila, Pospiszila i zupełnie świeży, nieużywany dokument na nazwisko prof. Lamberta.

Sprawa była oczywiście mocno podejrzana i aż do jej wyjaśnienia ulokowano Prometeusza razem z jasnowłosą żoną w baraku na stacji. Przybram — jak zwykle w razach trudniejszych — próbował wylegitymować się swojem *świecącem sercem*, twierdził, że on jeden z mieszkańców tego globu takie serce posiada i że to mu powinno wystarczyć za dowód osobisty. W odpowiedzi Władysław Śledź tonem grzecznym, ale stanowczym odczytał mu pewien rozdział z księgi przepisów dla straży pogranicznej.

— Znakomitych ludzi — dodał — przewoziliśmy tędy niejednokrotnie ku zadowoleniu rodziny i nieboszczyka — nigdy nie było najmniejszej scysji, nigdy nikt się na nas nie uskarżał.

— Co prawda — dorzucił jeszcze — znakomici ludzie ułatwiali nam zadanie, nie tak, jak pan! Jeżeli przekraczali granicę bez dokumentów — to przynajmniej nie w stanie żywym. Jestem tu dziesięć lat na stanowisku i zaręczam panu, że żywego wielkiego człowieka nie widziałem.

— Cóż mi pan zatem radzi? Mam umrzeć na tej stacji? W Zbąszyniu? — pytał drżącym głosem Przybram.

— Zaczekamy z tem jeszcze trochę. Jeżeli pan doprawdy jest „nowym Prometeuszem" — jak pan twierdzi — to zadepeszujemy do Warszawskiego Tow. Przyjaciół Nauk. Niech oni tam sobie głowę łamią. Ja tu nie jestem zgodzony do genjuszów. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Dopiero po trzech dniach dość przykrego postoju (Przybrama w żaden sposób nie chciano puścić z powrotem zagranicę. Istniały przypuszczenia, że to on przemycał walutę i był zaplątany w sprawę Prywatmana i Paździorkiewicza) przybyła na stację pograniczną deputacja, złożona z trzech profesorów warszawskich. Panowie Czemuż, Pocoś i Laboga nie mogli wprawdzie załatwić w Warszawie—tak naprędce—wszystkich formalności, ale pierwszy z nich (Czemuż) miał krewniaka w ministerstwie przemysłu, skąd wydostał formularz tej treści:

„Min. Przem. i Handlu prosi władze pograniczne w Zbąszyniu o przepuszczenie i zwolnienie od cła (objekt)... *Prometeusz*... (w ilości)... 1... i o przetransportowanie takowego do Warszawy na koszt Ministerstwa".

(podpis) *Szef dep. Czyż.*

(pieczęć).

Słowa *Prometeusza, jeden, takowego i Czyż* były na tym druczku wypisane odręcznie.

Zaraz po przyjeździe panowie Czemuż, Pocoś i Laboga udali się do baraku stacyjnego i tu, odchrząknąwszy, wygłosili trzy mowy powitalne. Przyczem Pocoś, jako historyk, rozwodził się szeroko nad zasługami Juljusza Cezara, Czemuż i Laboga zaś obrali sobie za temat przyrodę tatrzańską i wspomnieli kilkakrotnie w pięknych parabolach orła, Świnicę, szczyty, perć i wierzchołek.

— Czy teraz już mogę stąd spokojnie wyjechać? — spytał Przybram.

Okazało się, że o tem nawet mowy być nie może. Miasta Poznań, Kalisz, Zgierz, Łowicz, Sochaczew przybrały się odświetnie, zmobilizowały orkiestry strażackie, udekorowały dworce, odziały mówców w tużurki i czyhały na okazję ujrzenia Przybrama i uczczenia go, jak na to zasługuje.

— Jak sądzisz, Nelli? — rzekł Przybram. — Pojedziemy?

Nelli — o dziwo! — zgodziła się natychmiast. Wywnioskowała bowiem (kobiety są zadziwiająco sprytne) z przemówień trzech wybitnych przedstawicieli nauki, że tu ludzie mają jakieś mętne pojęcie o czynach jej nad miarę głośnego małżonka. Bawiło ją to, że panowie Czemuż i Pocoś wynoszą wprawdzie Huberta pod niebiosa, ale właściwie nic o nim nie wiedzą. Prof. Czemuż plątał najwidoczniej „cold-light" z angielskiem mydłem do golenia

o podobnej nazwie, a Laboga uważał je wyraźnie za środek przeczyszczający. Stosunkowo najpewniej mówił o zimnych płomieniach i nellitach Pocoś — jako przyrodnik z zawodu. Niestety w wagonie, podczas miłej pogawędki towarzyskiej, wyszło na jaw, że i on pomieszał cokolwiek metodę Przybrama z .metodą odmładzania starców prof. Steinacha.

Jeszcze milsza dla Nelli niespodzianka (niema chyba nic bardziej złośliwego na świecie od żon ludzi wybitnych) czekała na nich w Poznaniu.

Magistrat wystawił na stacji dość dużą budę w kształcie antycznej bramy triumfalnej i umieścił pod nią orkiestrę dętą. Ale ta orkiestra, ujrzawszy wagon salonowy, dmuchnęła w trąby i zagrała fortissimo bułgarski hymn narodowy, poczem wiceprezydent, p. Wlazło-Nietrzeba, wszedł osobiście do przedziału i wręczył Nelli bukiet, Przybramowi szpadę i rozpoczął orację. Do wynalazcy mówił stale „Ty" w dowód wielkiego szacunku, ale przytem niewiadomo dlaczego tytułował go w przemówieniu jenerałem. Wychwalał Przybrama za jakieś czyny pod Tyrnowem i Köstendży, poczem orkiestra jeszcze głośniej zaintonowała pieśń „Szumi Marica..."

I dziś jeszcze nie wiemy, co skłoniło p. wiceprezydenta Wlazłę-Nietrzebę do wygłoszenia na cześć Przybrama mowy, przeznaczonej na powitanie pewnego weterana z wojny bałkańskiej.

Wiemy tylko, że mistrz, zerwawszy się spręży-

ście z miejsca, chwycił nagle żonę i walizkę i krokiem młodzieńczym skoczył do przejeżdżającego właśnie pociągu Poznań, Bydgoszcz, Gdańsk.

Z Neufahrwasser „prof. Lambert" i jego młoda żona odpłynęli na małym stateczku „Prometheus" do Malmö.

XVI.

EPILOG.

Nie piszemy tu „Pamiętnika starej panny" i nie będziemy szukali mozolnie *pointy* efektownej. Życie ma mniej fantazji od autorów filmowych i wybiera sobie epilogi skromne i przyzwoite.

Mieścina Westeros, do której udać się musimy niezwłocznie na czas krótki razem „profesorem Lambertem" i jego żoną, przypomina do złudzenia — zimą oczywiście — jakiś wyrób cukiernika: mocno lukrowany piernik, porcję lodów śmietankowych, tort kremowy. Na dachach domów leżą nieprawdopodobne, puszyste zwały białego śniegu, — ten śnieg niepokalany pokrywa też ulice, płoty, drzewa, tworzy i poprawia architekturę, podpierając każdy murek zawadjackiemi skarpami.

W tym właśnie śniegu tytłał się wielki nasz uczony od rana. Jasnowłosa Nelli była jego cierpliwą nauczycielką. Uczyła go jeździć na nartach, pokazywała mu jak się steruje ***bobsleighem,*** asy-

stowała przy jego pierwszych krokach na tafli lodowej, pokrywającej grubą warstwą jezioro.

Profesor żył, jak sztubak na wagarach, jego zmęczone oczy wypoczęły w łagodnym półmroku, policzki nabrały rumieńców, krew żywiej krążyła w żyłach i nowe światoburcze plany rysować się już poczęły w wyobraźni.

Wieczorami — po dniu pełnym trudów — chodzili do kawiarni miejscowej. Nazywała się dosłownie „salong" i nie różniła niczem od bawialni w domu zamożnego aptekarza na prowincji. Jakieś mereżkowane serwetki i patarafki na stołach, pluszowe meble pod ścianami, fotografje i lustra na ścianach. Pijali poncz szwedzki na rozgrzewkę i rozmawiali przeważnie o rzeczach sportowych.

W tym właśnie „salongu" poznali młodzi państwo Lambertowie człowieka, który dziwnym zbiegiem okoliczności nazywał się — Olafson. Nie był genjalnym uczonym, jak ów z filmu, nie wymyślił nowego pierwiastku i nie leczył nim ludzi.

Był to poprostu malarz-pejzażysta i miał twarz indyjskiego kacyka. Czasem aż zdziwienie ogarniało widza, że władze mogły wydać temu plastykowi metrykę na nazwisko pospolitego Olafsona, zamiast mu wpisać w tej rubryce do pasportu: Jastrzębie Oko, Orli Nos, Żylaste Ramię, Ścięgno Tygrysa.

Olafson negował zajadle nową erę, erę „fosforów" i „zimnych płomieni". Malował stale pejzaże sielskie, obrazki z dalekiej przeszłości: pastuszek

pasie krowy przy świetle lampy łukowej, dziewczyna w chacie robi robótkę przy żarówce „Tungsram".

Polubił ogromnie „profesora Lamberta", przyrządzał mu grog według własnej recepty i bawił go rozmową o sztuce, przyczem wymyślał na czem świat stoi największemu złoczyńcy w dziejach, wandalowi i barbarzyńcy, Przybramowi.

— Ten człowiek zabił kulturę! — wołał, waląc żylastą pięścią w stół.—Zabił malarstwo! Dawniej, profesorze, tu stałem ja, tu był krajobraz, z tej strony padało światło a z tamtej był cień. To proste, prawda? Teraz *niema cienia* na świecie! Tu coś świeci, tam się coś pali, wszędzie *bliki*, wszędzie coś jaśnieje i coś promieniami tryska! Rzeźbiarz nie może modelować, artysta nie wie, gdzie ma stanąć. Bryły niema, przyroda jest płaska, sztukę djabli biorą. Świat parszywieje, giniemy. Jeszcze jeden Przybram, panie profesorze Lambert, a wystawy trzeba będzie zwinąć, muzea zamknąć, obrazy olejne przedystylować na tłuszcz i smary.

Nie umiemy już patrzeć, nie czujemy perspektywy. Gdzie jest różnica między pierwszym planem i ostatnim? Gdzie są walory kolorystyczne? Los się nade mną znęca i wsadził mnie — głową naprzód — w te podłe czasy, w których pływam jak zdechła mucha w donicy zsiadłego mleka...

Gdyby nie obecność Nelli (kacyk był ogromnie kurtuazyjny dla dam) profesor nasłuchałby się jeszcze potworniejszych rzeczy o sobie. Ale i tak miał za swoje.

— Mówią — perorował Olafson, — że to Prometeusz współczesny! Brednie! Prometeusz był typkiem pożytecznym, wiedział, co robi — to był Grek! A ten — wiecie, co on robi?! zaciera kontrasty! Tak, moi państwo, zaciera kontrasty! Niema dziś różnicy między dniem i nocą, tak jak niema oddawna różnicy między królem i pastuchem, jenerałem i odźwiernym, kobietą i mężczyzną. Ubieramy się w te same głupkowate marynarki, strzyżemy jednakowo włosy, nosimy jednakowe *brechesy*. Świt już niczem się nie różni od zmierzchu, poniedziałek od wtorku, królowa Madagaskaru od telefonistki.

Mówiłby jeszcze długo i często w ten sposób, ale zdarzyło się któregoś dnia, że otrzymał nadspodziewanie pewne większe zamówienie. Był to okres, kiedy poczęto stosować *nellity* w farbiarstwie. Powstały — głównie dzięki pracom Fiszla w Trieście i prof. Morrisa w Pasadenie — *płynne barwniki* świetlne.

Głośna fabryka Karmana przysłała Olafsonowi pudło nowych farb *gratis*, z prośbą o łaskawą opinję i z zapewnieniem, że będzie pierwszym artystą na kontynencie, który większy obraz temi *zimnemi płomieniami* wykona.

Olafson przestał przychodzić wieczorami do „salongu". Zamknął się w pracowni, ćmił fajkę, pracował jak wyrobnik. Jego dzieło („Sąd bogów olimpijskich nad Prometeuszem") otrzymało w dwa tygodnie potem, jak wiemy, wielką nagrodę imienia

Huberta Przybrama na wystawie paryskiej. Odtąd Olafson malował wyłącznie nellitami.

Jego „świetliste krajobrazy" i dziś jeszcze są poszukiwane przez znawców, ale wówczas miały skuces i rozgłos wręcz niebywały.

— Widz olśniony — pisze krytyk „Art décoratif" Raçiongère — staje przed tym pejzażem, jakby przed oknem ciemnego pokoju, oknem, którego okiennice się rozwarły, odsłaniając widok na podwórko zalane słońcem! Nie znamy w historji malarstwa i t. d., nie wyobrażamy sobie i t. d., coby przodkowie nasi i t. d. Jakież perspektywy dalekie i t. d., jakie możliwości i t. d. Witamy etc. Objawienie etc. *).

Bylibyśmy i my szczerze zachwyceni powodzeniem Olafsona, gdyby nie pewna okoliczność niepokojąca. Artysta nietylko malował nellitami Przybrama, ale coraz częściej zabierał na dalekie spacery jasnowłosą Nelli tegoż Przybrama...

Przechadzali się—coraz dłużej. Aż wreszcie—z jednego z takich spacerów nie wrócili wcale do Westeros. Malarz przekonał uroczą, piękną kobietę, że nie może marnować życia w ponurem i ciemnem miasteczku północnem.

— Ziemia błyszczy od świateł — mówił, — promienne słońce nowej ery wzeszło nad światem i już nie zajdzie. Nie może najcudniejsza z kobiet kryć się, jak puszczyk, w tej zaśnieżonej dziupli, nie

---

*) p. również Raciągeur „Peinture", t. 3.

ma moralnego prawa! I dla kogo się tu poświęcać? dla tępego profesora botaniki?...

Wyruszyli na południe, pozostawiając Przybrama w „zaśnieżonej dziupli".

Cóż — żaden z ludzi wybitnych nie miał szczęścia w pożyciu małżeńskiem: ani Sokrates, ani Molière... I, gdyby ktoś z życzliwych zwrócił Hubertowi we właściwej chwili uwagę na to powszechne prawo przyrodnicze, może — mówimy może, bo za autorytet w sprawach erotycznych się nie uważamy — może ocaliłby od zagłady jeden z największych talentów naukowych? Kto wie?

Dalsze dzieje Przybrama toną w mroku faktów niesprawdzonych. Ślad po nim zaginął. Skórzana torba, którą skrzętnie przechowuje archiwum w Trieście, nie zawiera probówki Nr. 13. Jedni mówią, że twórca sypkiego światła brał udział — jako Dr. Chlusky — w piątej wyprawie na Mont Everest, inni, że jako obserwator Knoll zginął w śniegach podbiegunowych razem z ekspedycją Sygurdsena...

Tak czy owak nic — powiedzmy to głośno i wyraźnie — nie może usprawiedliwić Larousse'a, który całe życie tego człowieka zbywa lakoniczną, bezbarwną wzmianką:

Przybram H. I. Urodził się w roku 1898, um. 1945? Odkrył *zimne płomienie* (ob. tamże) w roku 1937...

To stanowczo za mało! Zważmy, że żywot ludzi wyjątkowych jest zawsze pouczający, — acz-

kolwiek, oczywiście, nie jest bajką wierszowaną, z której wyciągać należy morały i tanie nauki dla użytku codziennego. Dalecy jesteśmy od tej myśli. Na krótką jednak apostrofę pozwolić sobie musimy:

Rzesze i pokolenia szaraków — tak uczą poważni historycy — żyją poto, żeby raz na stulecie wydać wreszcie jednostkę wyjątkową. Jesteśmy — my, pospolitacy—jak gromada naiwnych dzieci, którą ktoś wpuścił do ciemnego, strasznego, tajemniczego pokoju. Dopiero genjusze, *ludzie dorośli*, wskazują nam drogę ku wyjściu, drogę ku światłu, borą nas za rękę, abyśmy nosów o meble nie porozbijali.

Niestety, owa banda niesfornych dzieci coraz częściej, wszczynając niesamowity wrzask i tumult, przeszkadza w pracy umysłowej *ludziom dorosłym*. Nasza pogarda i nasze uwielbienie, nasze akty oskarżenia i nasze okrzyki entuzjazmu są przeważnie równie głośne, jak nietaktowne. To też takich ludzi dorosłych jest wśród nas coraz mniej. Nasze ustawy pasportowe i nasze egzaminy szkolne, nasze giełdy, teatry, dzienniki, sądy, urzędy, granice, kobiety, przepisy etyczne sprzyjają znacznie więcej rozwojowi idjotów, niż Przybramów.

Może dlatego zginął przedwcześnie obserwator Knoll (recte Dr. Chlusky, recte Pospiszil, recte Mindsenthy).

Nie spieszmy się z wykradaniem światła bogom. Czekajmy, aż to uczyni kto inny.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA.

Gautsch „Theoretische Grundlagen der Przybram-Ersheinungen" (Lipsk, 4 tomy).

Flips „A practical Przybramist" (Londyn, broszura).

Haricot „La decouverte Przybram — une invention française?" (Paryż, 1939).

Ciepichałł „O gwałtownej potrzebie pomnika ku czci Przybrama w Samborze" (Złoczów, 1950).

Dałbybóg i Obyś „Życiorysy sławnych ludzi".